



HENRYK SIENKIEWICZ

Szkice węglem


wolnelektury.pl



FUNDACJA
nowoczesna
Polska

HENRYK SIENKIEWICZ

Szkice węglem

CZYLI EPOPEJA POD TYTUŁEM: CO SIĘ DZIAŁO W BARANIEJ GŁOWIE

ROZDZIAŁ PIERWSZY. W KTÓRYM ZABIERAMY ZNAJOMOŚĆ Z BOHATERAMI I ZACZYNAMY SIĘ SPODZIEWAĆ, ŻE COŚ WIĘCEJ NASTĄPI

We wsi Barania Głowa w kancelarii wójta gminy cicho było jak makiem siał. Wójt gminy, niemłody już włościanin nazwiskiem Franciszek Burak, siedział przy stole i z natężoną uwagą gryzmolił coś na papierze; pisarz zaś gminny, młody i pełen nadziei pan Zołzikiewicz, stał pod oknem i dłuwał w nosie lub opędzał się od much.

Muchy było w kancelarii jak w oborze. Wszystkie ściany, popstrzone od nich, straciły swój dawny kolor. Również popstrzone było szkło na obrazie wiszącym nad stołem, papier, pieczęcie, krucyfiks i urzędowe księgi wójtowskie.

Muchy laziły i po wójcie, tak jakby po jakim zwyczajnym sobie ławniku, ale szczególniejąca je wypomadowana, woniejąca goździkami głowa pana Zołzikiewicza... Nad tą głową unosił się ich cały rój: siadały na rozbiórce włosów tworząc żywe, ruchome, czarne plamy. Pan Zołzikiewicz podnosił od czasu do czasu ostrożnie rękę, a potem spuszczał ją nagle; dawał się słyszeć plask dłoni o głowę, rój wzbijał się, brzęcząc, w powietrze, a pan Zołzikiewicz, schyliwszy czuprynę, wybierał palcami trupy z włosów i zrzucił je na ziemię.

Godzina była czwarta po południu, w całej wiosce panowała cisza, bo ludzie wyszli na robotę; za oknem tylko kancelarii cochała się o ścianę krowa i od czasu do czasu ukazywała przez okno sapiące nozdrza ze śliną wiszącą u pyska.

Czasem zarzucała ciężki łeb na grzbiet broniąc się także od much, przy czym rogiem zawadzała o ścianę. Wówczas pan Zołzikiewicz wyglądał przez okno i wołał:

— A hej! A żeby cię...

Potem przeglądał się w lusterku wiszącym tuż koło okna, poprawiał włosy i znów zaczynał flegmatycznie dłuwać w nosie.

Na koniec przerwał milczenie wójt.

— Panie Zołzikiewicz — rzekł z mazurską — niech ino pan napisze ten „rapurt”, bo mię jakoś nieskładno. Przecie pan je pisarz.

Ale pan Zołzikiewicz był w złym humorze, a jak tylko był w złym humorze, wójt musiał sam wszystko robić.

— To i cóż, żem pisarz? — odparł z lekceważeniem. — Pisarz jest od tego, żeby pisywał do naczelnika i do komisarza; a do wójta, takiego jak wy, to wy sobie sami piszcie.

Potem dodał z majestatyczną pogardą:

— Albo to dla mnie wójt to co? Chłop i basta! Smaruj chłopu miodem... a chłop zawsze będzie chłopem.

Potem poprawił włosy i znów spojrział w lusterko.

Wójt jednak czuł się dotknięty i odrzekł:

— Patrzcie no się. A niby ja to z „koniuszarem” nie piłem arbaty?

— Wielka mi rzecz herbata! — odparł niedbale Zołzikiewicz. — A może jeszcze bez araku?

— A nieprawda, bo z harakiem.

— To niech będzie z arakiem, a ja dlatego raportu nie będę pisał.

Wójt ozwał się gniewliwie:

— Kiejś pan taki delikatny fizyk, to czemu było prosić się na pisarza?

— A was się kto prosił? Ja tylko po znajomości z naczelnikiem...

— Wielga znajomość, a jak tu przyjadzie, to pan ani pary z gęby...

— Burak! Burak! Ostrzegam, że wy jakoś nadto rozpuszczacie język. Mnie już wasze chłopcy kością w gardle stoją razem z waszym pisarstwem. Człowiek z edukacją tylko między wami ordynarnieje. Jak się rozgniewam, tak rzucę pisarstwo i was do diabła!

— Ba! a cóż pan będzie robił?

— Co? Albo to mi krokwie gryźć bez pisarstwa? Człowiek z edukacją da sobie rady. Już wy się o człowieka z edukacją nie bójcie. Jeszcze wczoraj rewizor Stolbicki do mnie powiada: „Ej ty, Zołzikiewicz! z ciebie byłby czort nie podrewizor, bo ty wiesz, jak trawa rośnie”. A podrewizor to co? Tylko po dworach jeździć i z szlachtą w karty grywać. Przepuścisz przez nogi jeden, drugi zacier, to ci jeszcze kieszeń spęcznieje. A dziś gdzie nie ma szachrajstw po gorzelniach? Albo to u nas, w Baraniej Głowie, pan Skorabiewski nie kręci? Powiedźcie głupiemu. Mnie plunąć na wasze pisarstwo. Człowiek z edukacją...

— O wa! To się jeszcze świat nie skończy.

— Świat się nie skończy, ale wy będziecie kwacza w maźnicy maczać i kwaczem w księgach pisać. Będzie wam ciepło, aż przez aksamit olszowy drąg poczujecie.

Wójt począł się drapać w głowę.

— Kiej bo pan to zara na zadnie nogi.

— A to nie rozpuszczajcie gęby...

— Juści, bo juści.

I znowu nastąpiła cisza, tylko pióro wójtowskie z wolna skrzypiało po papierze.

Na koniec wójt wyprostował się, obtarł pióro o sukmanę i rzekł:

— Ano! Z pomocą Bożą skończyłem.

— Przeczytajcież, coście nagwazdali.

— Co miałem ta gwazdać. Wypisałem akuratnie wszystko, co potrzeba.

— Przeczytajcie, mówię.

Wójt wziął papier w obie ręce i zaczął czytać:

„Do wójta gminy Wrzeczędza. W imię Ojca i Syna, i Ducha Świętego. Amen. Naczelnik kozel, żeby spisy wojskowe były dycht po Matce Boskiej, a tu u waju mentryki w parafii u dobrodzieja i też nasze chłopaki chodzą do waju na bandosę, rozumita, żeby były wypisane i bandośniki też przysłać przed Matką Boską, jak skończone ośmnaście lat, bo jak tego nie uczynita, to dostanieta po łbie, czego sobie i wam życzę. Amen”.

Pocziwy wójt co niedziela słyszał, jak proboszcz kończył w ten sposób kazanie, zakończenie więc takie zdawało mu się również koniecznym, jak i odpowiadającym wszelkim wymaganiom przyzwoitego stylu, a tymczasem Zołzikiewicz zaczął się śmiać.

— To tak? — spytał.

— A to niech pan napisze lepiej.

— Pewno, że napiszę, bo mi wstyd za całą Baranią Głowę.

To rzekłszy Zołzikiewicz siadł, wziął pióro w rękę, zatoczył nim kilka kół, jakby dla nabrania rozpędu, i począł szybko pisać.

Wkrótce zawiadomienie było gotowe; wówczas autor poprawił włosy i czytał, co następuje:

„Wójt gminy Barania Głowa do wójta gminy Wrzeczędza!

Tak jak spisy wojskowe z polecenia władzy wyższej mają być gotowe na dzień ten i ten, roku tego a tego, tak zawiadamia się wójta gminy Wrzeczędza, ażeby metryki włościan baraniogłowskich nachodzące się w kancelarii parafialnej z takowej kancelarii wyjął i do gminy Barania Głowa w samym skorym czasie nadesłał. Włościan zaś gminy Barania Głowa znajdujących się na robociźnie we Wrzeczędzy na tenże dzień przystawić”.

Wójt chciwym uchem łowił te dźwięki, a twarz jego wyrażała przejęcie się i niemal religijne skupienie ducha. Jakże to wszystko wydało mu się pięknym, uroczystym, jak na wskroś urzędowym. Oto, na przykład, choćby ten początek: „Tak jak spisy wojskowe etc.” Wójt uwielbiał to: „Tak jak”, ale się go wyuczyć nigdy nie mógł, a raczej zacząć wprowadzić umiał, ale dalej ani rusz! A u Zołzikiewicza płynęło to jak woda, że nawet i w kancelarii

w powiecie lepiej nie pisali. Potem tylko ukopcić pieczętkę, kropnąć nią o papier, ażeby stół trzasnął, i ot co!

— No, jużci, co głowa, to głowa — rzekł wójt.

— Ba — rzekł udobruchany Zołzikiewicz — przecież pisarz to jest ten, co książki pisze.

— A to pan i książki pisze?

— Pytacie, jakbyście nie wiedzieli; a księgi kancelaryjne któż pisze?

— Prawda — rzekł wójt.

I po chwili dodał:

— Spisy pójdą piorunem.

— Wy oto patrzcie, żeby się pozbyć ze wsi ladaców.

— Bogać ich się tam pozbędzie!

— A ja wam mówię, że naczelnik skarżył się, że w Baraniej Głowie lud niedobry. Na składkę, powiada, nic nie dali i piją. Burak, powiada, ludzi nie pilnuje, więc się też i na nim skrupi.

— Ba! dyc ja wiem — odrzekł wójt — że się wszystko na mnie krupi. Jak Rozalka Kowalicha zległa, sąd kazał jej dać dwadzieścia pięć, dlatego tylko, żeby na drugi raz pamiętała, że to, powiada, dziewce nieładno. Kto kazał. Ja? Nie ja, jeno sąd. A mnie do tego co? Niech ta sobie i wszystkie legną. Sąd kazał, a potem na mnie. „Czy to nie wiesz — powiada naczelnik — że teraz kara cielesna zniesiona! — i zara buch mię w pysk — że bić nie wolno nikogo?” — i znów mię w łeb. Taka już moja dola...

W tym miejscu krowa z łoskotem uderzyła o ścianę, że aż się kancelaria zatrzęsła. Wójt zawołał głosem pełnym goryczy:

— A hej, żeby cię wciórnaści!

Pisarz, który przez ten czas siadł na stole, począł znów dłużyć w nosie.

— Dobrze wam tak — rzekł — czemu się nie pilnujecie. Z tym piciem będzie tak samo. Jedna parszywa owca wszystkie zaraża. Albo to nie wiadomo, kto w Baraniej Głowie wszystkim dowodzi i ludzi ciąga do karczmy?

— Pewnikiem, że nie wiadomo, a co do picia: jenszy się też potrzebuje napić, jak się napracuje w polu.

— A ja wam mówię tylko to: jednego Rzepy się pozbyć i wszystko będzie dobrze.

— Cóż mu ta łeb urwę?

— Łba mu nie urwiecie, ale teraz spisy wojskowe. Ot, zapisać by go w listę, niechby pociągnął los i basta.

— Toćże on żeniaty i chłopaka ma już rocznego.

— A kto by tam wiedział. On by na skargę nie poszedł, a poszedłby, to by go i nie chcieli słuchać. W czasie branki nikt nie ma czasu.

— Oj, panie pisarzu! Panie pisarzu! Musi panu nie o pijaństwo chodzi, ino o Rzepową, a to tyło obraza boska.

— A wam co do tego? Wy patrzcie, ot, że i wasz syn ma dziewiętnaście lat i że takóż musi losować.

— Wiem ci ja o tym, ale ja jego nie dam. Jak nie będzie można inaczej, to i wykupię.

— O! Kiedyście taki bogacz...

— Ma tam Pan Bóg u mnie trochę koprowiny, niewielka tego jest, ale może i wstrzyma.

— Ośmset rubli koprowiną będziecie płacić?

— A kiej powiadam, że zapłacę, to choć i koprowiną zapłacę, a potem byle Pan Bóg pozwolił zostać wójtem, to przy jego najwyższej pomocy może mi się to ta w jakie dwa roki powrócić.

— Powróci się albo i nie powróci. Ja też potrzebuję i wszystkiego wam nie oddam. Człowiek z edukacją zawsze ma większe wydatki niż drugi prosty; a jakbyśmy Rzepę zapisali na miejsce waszego syna, to i dla was byłaby oszczędność... ośmset rubli na drodze nie znaleźć.

Wójt pomyślał chwilę. Nadzieja zaoszczędzenia tak znacznej sumy poczęła go lechtać i uśmiechać mu się przyjemnie.

— Ba! — rzekł w końcu — zawdyk to nieprzepieczna rzecz.

— Już to nie na waszej głowie.

- Tego to ja się i boję, że pańską głową się zrobi, a na mojej się skrupi.
- Jak sobie chcecie, to płacicie ośmset rubli...
- Nie powiadam, żeby mi ta nie było żal...
- A! Skoro myślicie, że się wam wróci, to czegoż żalować? Ale wy na swoje wójtostwo tak bardzo nie liczcie. Jeszcze na was wszystkiego nie wiedzą, ale żeby tylko wiedzieli to, co ja wiem...
- Dyc pan kancelaryjnego więcej bierze jak ja.
- Nie o kancelaryjnym też mówię, ale o trochę dawniejszych czasach...
- A nie boję się! Co mi kazali, tom robił.
- No! Będzicie się tłumaczyć gdzie indziej.

To rzekłszy pan pisarz wziął za zieloną kortową w kraty czapkę i wyszedł z kancelarii. Słońce już było bardzo nisko; ludzie wracali z pola. Więc naprzód pan pisarz spotkał pięciu kosiarzy z kosami na plecach, którzy pokłonili mu się mówiąc: „Pochwalony”; ale pan pisarz kiwnął im tylko wypomadowaną głową, a zasię: „Na wieki”, nie odpowiedział, bo sądził, że człowiekowi z edukacją to nie wypada. Że pan Zołzikiewicz miał edukację, to o tym wiedzieli wszyscy, a wątpić mogli chyba ludzie złośliwi i w ogóle źle myślący, którym każda osobistość wyrastająca głową nad zwykły poziom zaraz solą w oku siedzi i spać spokojnie nie daje.

Gdybyśmy mieli, jak się należy, biografie wszystkich naszych znakomitych ludzi, w biografii tego niepospolitego człowieka, którego portretu — nie rozumiem dlaczego — żadna z naszych ilustracji jeszcze nie podała, czytaliibyśmy, że pierwsze nauki pobierał w Osłowicach, stołecznym mieście powiatu osłowickiego, w którym to powiecie leżała i Barania Głowa. W siedemnastym roku życia doszedł już młodociany Zołzikiewicz do klasy drugiej, a byłby również wcześniej doszedł i wyżej, gdyby nie to, że nagle nastąpiły burzliwe czasy, które raz na zawsze przerwały jego ściśle naukową karierę. Uniesiony zwykłym młodości zapalem, pan Zołzikiewicz, którego zresztą jeszcze poprzednio prześladowała niesprawiedliwość profesorów, stanął na czele żywiej czujących kolegów, wyprawił kocią muzykę swym prześladowcom, podarł książki, połamał linie, pióra i porzuciwszy Minerwę udał się na pole Marsa i Bellony. Była to epoka w jego życiu, w której spodnie nosił nie na cholewach, ale w cholewach, i w której wyśpiewywał z zapalem, przepelnionym równie gorzką, jak straszną ironią: „O cześć wam, panowie magnaci!” Życie obozowe, śpiewy, obłoki tytoniowego dymu, romantyczne przygody na kwaterach, na których młode dziewice, z krzyżykami na piersiach, na plecach, na głowach i Bóg wie nie gdzie, niczego nie żalowały dla „Ojczyzny i walecznych jej obrońców”, życie takie — powiadam — harmonizowało z namiętą i burzliwą duszą młodego Zołzikiewicza. Znajdował w nim urzeczywistnienie owych marzeń, które nieraz, jeszcze dawniej, wstrząsały jego umysłem, gdy w klasie pod ławką czytał *Rynalda Rynaldinięgoi* inne podobne utwory, kształcające serce, rozwijające umysł i budzące wyobraźnię naszej młodzieży.

Ale życie to miało i swoje ciemne, a raczej ryzykowne strony. Wrząca odwaga zbyt unosiła Zołzikiewicza. Jak zaś unosiła go wysoko, niepodobna by prawie uwierzyć, gdyby nie to, że dziś jeszcze pokazują płot we Wrzeczędzy, którego najlepszy koń nie może przesadzić, a który pan Zołzikiewicz pewnej burzliwej nocy, uniesiony namiętym pragnieniem zachowania się nadal dla obrony i szczęścia ojczyzny, przesadził jednym skokiem. Dziś, kiedy czasy te dawno już minęły, ile razy zdarzy się panu Zołzikiewiczowi być we Wrzeczędzy, spogląda na ów płot i sam sobie prawie nie wierząc myśli w duchu: „Niech to diabli wezmą! Dziś bym już tego nie potrafił”.

Po tym jednak nadludzkiem czynie, o którym zresztą wspomniały i wydawane naówczas biuletyny, fortuna, która dotąd strzegła jak żrenicy w oku pleców pana Zołzikiewicza, uleciała nagle od niego, jak gdyby przerażona jego odwagą. Tydzień nawet nie upłynął od owego wypadku, gdy jednego poranku bohaterko narażane ustawicznie plecy pana Zołzikiewicza spotkały się — wprawdzie (dzięki Opatrzności, która zawsze wie, co czyni) nie z kulą lub z bagnietem, ale z pewnym innym, również prawie antylojalnym narzędziem uplecionym z byczej skóry i opatrzonym kawałkiem ołowiu na końcu, które to narzędzie zmieniło jak gdyby w rzeszoto niepokalaną dotąd skórę na krzyżu i łopatkach naszego sympatycznego bohatera.

Odtąd począł się w jego myślach i uczuciach zwrot stanowczy. Leżąc nosem na dół na prostym sienniku w baraniogłowskiej karczmie, po całych nocach bezsennych roz-

myślał — rozmyślał, jak dawniej Ignacy Lojola — i doszedł wreszcie do przekonania, że każdy powinien służyć ogółowi taką bronią, jaką władza najlepiej; inteligencja więc powinna służyć głową, nie plecami, bo głowę ma nie każdy, a plecy każdy, więc oto niepotrzebnie swoje narażał. — Cóż mógł więcej zrobić dla ojczyzny na tej drodze, którą postępował dotąd? Przeskoczyć znowu jaki płot? Nie! Dostyc było tego, który przeskoczył. — „Niechby tylko każdy przeskoczył taki!” — myślał sobie. Rozlewać krew dalej? A małoż to mu jej już uszło?! Nie! Jeszcze raz nie! Ogółowi mógł teraz tylko służyć na drodze wprost przeciwnej, pacyficznej, i inteligencją, alias wiedzą. Że zaś wiedział dużo, że wiedział coś prawie o każdym mieszkańcu powiatu osłowickiego, mógł więc w czasie pacyfikacji znakomite oddawać ogółowi usługi.

Jakoż wstąpił na tę nową drogę, usługi oddawał i idąc po tej nowej drodze doszedł aż do pisarstwa gminnego, a — jak to już słyszeliśmy — marzył nawet o podrewizorstwie.

Jednakże i na pisarstwie wiodło mu się nieźle. Gruntowna wiedza zawsze potrafi obudzić dla siebie szacunek, że zaś, jak wspomniałem, sympatyczny mój bohater wiedział coś o każdym prawie z mieszkańców powiatu osłowickiego, wszyscy więc byli dlań z szacunkiem pomieszany z pewną ostrożnością, ażeby się w czymś tak niepospolitej osobistości nie narażać. Kłaniała mu się więc i szlachta w ogóle, kłaniali się i chłopci zdejmując już z daleka czapki i mówiąc: „Pochwalony!” Tu widzę jednak, że muszę jaśniej czytelnikowi wytłumaczyć, dlaczego pan Zołzikiewicz nie odpowiadał na „Pochwalony” zwykłym: „Na wieki wieków”.

Wspomniałem już, że sądził, iż człowiekowi z edukacją to nie wypada; ale były jeszcze i inne przyczyny. Umysły na wskroś samodzielne bywają zwykle śmiałe i radykalne. Otóż pan Zołzikiewicz jeszcze za owych burzliwych czasów doszedł do przekonania, że „dusza to para, i basta”. Przy tym pan pisarz czytał teraz właśnie wydawnictwo warszawskiego księgarza, pana Breslauera, pod tytułem *Izabela hiszpańska, czyli tajemnice dworu madryckiego*. Znakomity ten pod każdym względem romans tak mu się nawet podobał i przejmował go tak dalece, że w swoim czasie zamierzał nawet rzucić wszystko i jechać do Hiszpanii. „Udało się Marforemu — myślał sobie wspominając na scenę, w której Marfory całuje Izabelę w pończochy — dlaczegoż i mnie nie miałyby się udać?” Byłby może nawet i pojechał za tymi pończochami, bo zresztą był teraz zdania, że „w tym głupim kraju tylko się człowiek marnuje”, ale wstrzymywały go, na szczęście, inne, krajowe pończochy, o których ta epopeja później mówić będzie.

Owóż skutkiem czytania owej *Izabeli hiszpańskiej*, wydawanej periodycznie, ku większej chwale naszej literatury, przez pana Breslauera, pan Zołzikiewicz zapatrywał się bardzo sceptycznie na duchowieństwo, a zatem i na wszystko, co pośrednio lub bezpośrednio z duchowieństwem związane. Nie odpowiedział więc kosiarzom jako zwykle: „Na wieki wieków”, tylko szedł dalej... Idzie, idzie, aż tu spotyka i dziewczki z sierpami na ramionach, wracające od żniwa. Przechodziły właśnie koło wielkiej kałuży, więc szły jedna za drugą gęsiego, podejmując z tyłu kiecki i pokazując burakowe nogi. Dopiero pan Zołzikiewicz powiada: „Jak się macie, sikory!” i zatrzymał się na tej samej steczce, a co która dziewczyna przechodzi, to on ją wpół i całusa, a potem ją w kałużę, ale to tylko tak, przez dowcip. Dziewcki też krzychały oj! oj! śmiejąc się, aż im zęby trzonowe było widać. A potem, kiedy już przeszły, pan pisarz nie bez pewnej przyjemności usłyszał, jak mówiły jedna do drugiej: „A już to piękny kawalir ten nasz pisarz!” „I czerwony kiej jabłuszeczko”. Trzecia zaś mówi: „A głowa to mu tak puszy kieby róża; jak cię złapi wpół, to aż cię zamgli!” Pan pisarz poszedł dalej, pełen dobrych myśli. Ale dalej znów, koło chałupy, usłyszał rozmowę o sobie i zatrzymał się za płotem. Za płotem, z drugiej strony, był gęsty wiśniowy sad, w sadzie ule, a niedaleko ulów stały dwie baby rozmawiając. Jedna miała kartofle w podołku i obierała je cygankiem, druga zaś mówiła:

— Oj, moja Stachowa, tak się boję, żeby mi mego Franka w żołmirze nie wzieni, że aż mi skóra cierpnie.

A Stachowa na to:

— Do pisarza by wam, do pisarza. Jak on nie zaradzi, to nikt nie zaradzi.

— A z czymże, moja Stachowa, ja do niego pójdę. Do niego z gołymi rękami nie można. Wójt je lepszy; przyniesiesz mu czy białych raków, czy masła, czy lnu pod pachą, czy kurę, to wszystko weźmie nie wybredzając. A pisarz ani spojrzy. O! On strasznie ambitny. Jemu to tylko chuścinę rozwiąż i zara rubla.

— Niedoczekanie wasze! — mruknął do siebie pisarz — żebym ja od was jaja albo kury brał. Cóż to ja łapownik jestem czy co? A idź z twoją kurą do wójta.

To pomyślawszy rozsunął gałęzie wiśniowe i już było chciał na kobiety zawołać, gdy nagle rozległ się z tyłu warkot bryczki. Pan pisarz odwrócił się i spojrział. Na bryczce siedział młody akademik w czapce na bakier, z papierosem w zębach, powoził zaś ów Franek, o którym baby rozmawiały przed chwilą.

Akademik wychylił się z bryki, dojrzał pana Zolzikiewicza, kiwnął ręką i zawołał:

— Jak się masz, panie Zolzikiewicz? Co tam słychać? Cóż, zawsze pomadujesz się na dwa cale?

— Sługa pana dobrodzieja! — ozwał, kłaniając się nisko, Zolzikiewicz, ale gdy bryka mignęła dalej, zawołał w ślad za nią z cicha:

— Żebyś kark skręcił, nim dojedziesz.

Tego akademika pan pisarz nie cierpiał. Był to kuzyn państwa Skorabiewskich, który przyjeżdżał zawsze do nich na lato. Zolzikiewicz nie tylko go nie cierpiał, ale bał się go jak ognia, bo to był drwiarz, frant wielki, a z pana Zolzikiewicza kpił jak gdyby umyślnie i on jeden w okolicy, co sobie z niego nic nie robił. Raz nawet wpadł na posiedzenie gminne i powiedział wyraźnie Zolzikiewiczowi, że głupi; chłopom zaś, że nie mają potrzeby go słuchać. Byłby się na nim pan Zolzikiewicz chętnie pomścił, ale... cóż mu mógł zrobić? O innych to choć coś wiedział, a o nim to nawet nic nie wiedział.

Przyjazd tego akademika był mu i z innych względów nie na rękę, dlatego poszedł dalej z zachmurzonym czołem i nie zatrzymał się aż dopiero przed jedną chałupą stojącą trochę opodal od drogi. Gdy ją jednak ujrzał, czoło jego wyjaśniło się znowu. Była to chałupa może biedniejsza jeszcze od innych, ale wyglądała porządnie. Umiecione było przed nią czysto, a podwórko przytrząśnięte tatarakiem. Pod płotem leżały szczapy drzewa, a w jednej z nich, wspartej na pieńku, sterczała siekiera. Nieco dalej widać było stodołę z otwartymi wierzejami, obok niej szopę, która była chlewkiem i oborą zarazem; dalej jeszcze ogrodzenie, w którym koń szczypał trawę przestępując z nogi na nogę. Przed chlewem świeciła wielka gnojówka, w której leżały dwie świni. Kaczki brodziły koło gnojówki, kiwając głowami i wylawiając żuki z nawozu. Blisko szczap między wiórami kogut rozgrzebywał ziemię, a znalazłszy ziarno lub czerwia poczynał krzyżeć: „kocz! kocz! kocz!” Kury zlatywały się na to hasło na wyścigi i dziobały specjal odbierając go sobie wzajemnie.

Przed drzwiami chałupy kobieta tłukła w mędlicy konopie śpiewając: „oj, ta dada! oj, ta dada! da-da-na!” Koło niej leżał z wyciągniętymi przednimi nogami pies kłapiąc pyskiem za muchami, które mu siadały na rozerwanym uchu.

Kobieta była młoda, może dwudziestoletnia, i dziwnie urodziwa. Na głowie miała czepek zwyczajny babski, na sobie białą koszulę zaciągniętą czerwoną tasiemką. Pod tą koszulą rysowały się zdrowe, wypukłe piersi jak dwie głowy kapusty, a i cała kobieta była jak rydz, szeroka w plecach i w biodrach, smukła w stanie, gibka, słowem: łania.

Ale rysy miała drobne, głowę niewielką i pleć może nawet i bladawą, tylko trochę ozłoconą promieniami słońca; oczy duże, czarne, brwi jakby napisane, mały, cienki nosek i usta jak wiśnie. Śliczne ciemne włosy wymykały się jej spod czepca.

Gdy pan pisarz się zbliżył, pies leżący koło mędlicy wstał, schował ogon pod siebie i począł warczeć błyskając od czasu do czasu kłami, jakby się uśmiechał.

— Kruczek — zawołała dźwięcznym, cienkim głosem kobieta — nie będziesz ty leżał! Żeby cię robole!...

— Dobry wieczór, Rzepowa! — zaczął pisarz.

— Dobry wieczór panu pisarzowi — odrzekła kobieta nie przestając mędlić.

— Wasz w domu?

— Na robocie w lesie.

— A to szkoda! Jest do niego interes z gminy.

Interes z gminy to dla prostych ludzi zawsze znaczy coś niedobrego. Rzepowa przestała mędlić i spojrzawszy trwożnie, spytała niespokojnie:

— No? Cóż to takiego?

Pan pisarz tymczasem przeszedł wrota i stanął koło niej.

— A dacie się pocałować? To wam powiem.

— Obędzie się! — odparła kobieta.

Ale pan pisarz już zdołał ją objąć wpół i przygarnąć do siebie.

— Panie! Bo będę krzyczeć — wołała Rzepowa wyrrywając się silnie.

— Przyjdźcie dziś do mnie wieczorem — co? — szeptał pan pisarz nie puszczając jej z objęć.

— Nie przyjdę ani dziś, ani nikt!

— Moja śliczna, Rzepowa... Marysiu!

— Pa-nie! Toć to obraza boska! Panie!

To mówiąc wydzierała się coraz silniej, ale pan Zołzikiewicz był także mocny i nie puszczał. Zaczęli się szamotać i w tym szamotaniu kobieta przewróciła się na wióry przez mędlicę, a pan pisarz z nią razem.

— O dla Boga! Rety! — poczęła wrzeszczeć głośno Rzepowa.

W tej chwili Kruczek przyszedł jej na pomoc. Zjeżył szerść na karku i z wściekłym szczeniem rzucił się na pana pisarza, a ponieważ pan pisarz leżał twarzą do ziemi, a plecami do góry, ubrany był zaś w krótką marynarkę, Kruczek więc schwycił za nie osłonięty marynarką kort, przejął kort, chwycił za nankin, przejął nankin, chwycił za skórę, przejął skórę i dopiero poczuwszy pełno w pysku począł potrząsać wściekle łbem i targać.

— Jezus! Maria! — krzyczał pan pisarz zapominając o tym, że należał do *esprits forts*.

Kobieta tymczasem zerwała się, zerwał się jak oparzony i pan pisarz, a Kruczek podniósł się na przednie łapy, ale pana pisarza nie puszczał, dopiero gdy ten chwyciwszy polano zaczął nim zadawać w tył ślepe razy, Kruczek, otrzymawszy uderzenie w krzyż, odskoczył skomląc żałośnie.

Po chwili jednak znów zaczął doskakiwać.

— Weźcie tego psa! Weźcie tego diabła! — krzyczał pan pisarz machając rozpaczliwie polanem.

Kobieta zawołała na psa i odpędziła go za wrota.

Potem oboje z pisarzem, sapiąc jeszcze, spoglądali na siebie w milczeniu.

— Oj, doła moja! Coże se pan do mnie upatrzył? — zawołała na koniec Rzepowa, przestraszona tak krwawym obrotem sprawy.

— Pomsta na was! — krzyknął pan pisarz. — Pomsta na was! Czekać! Pójdzie Rzepa w żołdacy. Chciałem bronić... ale teraz... Przyjdźcie wy jeszcze do mnie... Pomsta na was!...

Kobiecina aż pobladła, jakby ją kto obuchem w głowę uderzył rozłożyła ręce, otwarła usta, jakby chciała coś mówić. Ale tymczasem pan pisarz, podniósłszy z ziemi kortową czapkę w zielone kraty, oddalił się szybko, machając jedną ręką polanem, a drugą podtrzymując rozdarte szpetnie korty i nankiny.

ROZDZIAŁ DRUGI. NIEKTÓRE INNE OSOBY I PRZYKRE WIDZENIA

W godzinę potem może przyjechał Rzepa z lasu z cieślą Łukaszem na dworskim wozie. Rzepa chłoposko był rośły jak topola, tęgi: prawdziwie od topora. Jeździł on teraz codziennie do lasu, bo pan wszystek las, na którym nie było serwitutów, sprzedał Żydom, szedł więc wyrąb sosen. Rzepa zarobek miał dobry, bo i do roboty był dobry. Jak, bywało, plunie w garść, a chwyci za topór, a machnie, a stęknie, a uderzy: to aż sosna zadrży, a wiór na pół łokcia się od niej oderwie. W ładowaniu drzewa na fury także był pierwszy. Żydy, co chodziły po lesie z miarą w rękę i spoglądały na wierzchołki sosen, jakby szukając gniazd wronich, dziwowały się jego sile. Bogaty kupiec z Osłowic, Dryśła, mawiał do niego:

— No, ty Rzepa! Niech ciebie diabeł weźnie. Na! Sieć groszy na wódkę, nie, czekaj; na! pięć groszy na wódkę...

A Rzepa nic. Machał tylko toporem, aż grzmiało, a czasem, ot, dla uciechy, puszczał głos po lesie:

— Hoop! hop!

Głos leciał między pnie, a potem wracał echem.

I znowu nie było nic słyhać prócz huku Rzepowego toporu; a czasem także sosny zagadały między gałęziami szumem, zwyczajnie jak w lesie.

Czasem znów drwale śpiewali, ale i do tego Rzepa był pierwszy. Trzeba było słyszeć, jak buczał z drwałami pieśń, której ich sam nauczył:

Coś tam w boru hukneno
Buuuu!
I okrutnie stukneno
Buuuu!
A to komar z dęba spadł
Buuu!
I stłukł sobie w plecach gnat
Buuuu!
A tu mucha poćciwa
Buuuu!
Leci ledwie co żywa
Buuuu!
I pyta się komara
Buuuu!
Czy nie trzeba doktora
Buuuu!
Oj! nie trzeba doktora
Buuuu!
Tylko księdza przeora
Buuuu!
Ani żadnej aptyki
Buuuu!
Jeno rydla, motyki
Buuuu!

W karczmie też Rzepa pierwszy był do wszystkiego, tylko że siwuchę lubił, a skory był do bitki, jak podpił. Raz Damazemu, parobkowi dworskiemu, zrobił taką dziurę we łbie, że Józkowa, gospodyni folwarczna, zaklinała się, że mu duszę było przez nią widać. Innym razem, ale to ledwie miał wtedy siedemnaście lat, pobił się w karczmie z urlopnikami. Pan Skorabiewski, który wtedy jeszcze był wójtem, sprowadził go do kancelarii, dał mu raz i drugi w łeb, ale tylko dla pozorów, a potem udobruchawszy się zara, pytał:

— Rzepa, bój się Boga! Jakżeś ty z nimi poradził, przecie ich było siedmiu?

A Rzepa na to:

— A cóż, jasnie dzieciu! Nożyska mają masierunkiem zerwane, to tyło com się którego tknon, to on zaraz o ziem.

Pan Skorabiewski zatarł sprawę. On dawniej był dziwnie łaskaw na Rzepę. Baby gadały nawet jedna drugiej do ucha, że Rzepa to jego syn: „Toć znać zaraz — dodawały — że fantazyją ma psia jucha ślachecką”.

Ale to nie była prawda, choć matkę Rzepy znali wszyscy, a ojca nikt. Sam Rzepa siedział komornym na chałupie i na trzech morgach, na których go też i uwłaszczenie zastało. Potem zaczął gospodarować na swoim, a że chłop był gospodarny, więc szło mu jako tako. Ożenił się, dostał żonę taką, że lepszej i ze świecą szukać; więc byłoby się pewno i bardzo dobrze wiodło, żeby nie to, że wódkę trochę zanadto lubił.

Ale cóż było na to poradzić. Jak ktoś do niego z wymówką, tak zaraz odpowiadał:

— Piję, to za swoje, a wam zasię!

Nikogo się we wsi nie bał, przed jednym pisarzem mores znał. Gdy zobaczył z daleka zieloną czapkę, zadarty nos i kozią bródkę idące na wysokich nogach z wolna po drodze, to się za czapkę brał. Na Rzepę pisarz też wiedział jakieś sprawki. Kazali Rzepie wozić wtedy w czasie zawieruchy jakieś papiery, to i woził. A jemu to co? Zresztą on wtedy miał piętnaście lat i jeszcze za gęsiami a za świńmi chodził. Ale potem pomyślał, że jednakże za owo wożenie papierów może być odpowiedzialność, więc się pisarza bał.

Taki to był Rzepa.

Gdy wrócił tego dnia z boru do chałupy, wypadła do niego kobieta z płaczem wielkim i dalejże wołać:

— Już ciebie, niebożę, niedługo moje oczy będą oglądały; już ja ci nie będę ni chustów prała, ni jeść gotowała. Pójdiesz ty, nieboraku, na kraj świata.

A Rzepa się zdziwił.

— Czyś ty się, kobieto — rzeknie — blekotu najadła, czy cię ta giez ukąsił?

— Ni ja się szaleju najadłam, ni mnie giez ukąsił, jeno pisarz tu był i mówił, że tobie już nijak od wojska się nie wykręcić... Oj! pójdiesz, pójdiesz na kraj świata!

Dopiero on ją wypytywać: jak, co, a ona mu opowiedziała wszystko, tylko o bałamuctwie pisarza zataiła, bo się bała, żeby Rzepa głupstwa pisarzowi nie powiedział albo, czego Boże bron! na niego się nie porwał i tym sprawy swojej nie pogorszył.

— Ty głupia! — powiedział w końcu Rzepa — czego płaczesz? Mnie do wojska nie wezmą, bom wyszedł z lat; przy tym i chałupę mam, grunt mam, ciebie, głupia, mam, a i tego raka utrapionego także.

To mówiąc pokazał na kołyskę, w której rak utrapiony, tj. tegi roczny chłopak, wierzał nogami i wrzeszczał, że aż uszy pękały.

Kobieta poczęła obcierać oczy fartuchem i rzekła:

— Co ta wszystko znaczy! Albo to on nie wie o papierach, coś je wozil z boru do boru?

Teraz Rzepa podrapał się w głowę.

— Jużci bo wie.

Po chwili zaś dodał:

— Pójdę ja z nim pogadać. Może to nic straszego.

— Idź, idź! — rzekła kobieta — a weź ze sobą rubla. Do niego bez rubla nie przystępuj.

Rzepa wydobył ze skrzyni rubla i poszedł do pana pisarza.

Pisarz był kawaler, nie miał więc osobnego domu, ale mieszkał w czworakach stojących nad stawem, czyli w tak zwanym murowańcu. Tam w osobnej sieni miał dwie izby na swój użytek.

W pierwszej izbie nie było nic, tylko trochę słomy i para kamaszów, druga była zarazem salonem i sypialnią. Stało tam łóżko nie zaścielane prawie nigdy, na łóżku dwie poduszki bez poszewek, z których sypały się pierze; obok stół, na nim kałamarz, pióra, książki kancelaryjne, kilkanaście zeszytów *Izabeli hiszpańskiej* wydawnictwa pana Breslauera; dwa brudne kołnierzyki angielskie, słoik pomady, gilzy do papierosów i wreszcie świeca w blaszanym lichtarzu z rudym knotem i muchami potopionymi w łoju koło knota.

Przy oknie wisiało spore lustro, naprzeciw zaś okna mieściła się komoda obejmująca nader wykwintną toaletę pana pisarza: różnych odcieniów majtki, kamizelki bajecznych kolorów, krawaty, rękawiczki, lakierki, a nawet i cylinder, którego pan pisarz używał wtedy, gdy wypadło mu jechać do powiatowego miasta Osłowic.

Oprócz tego w chwili, o której mowa, na krześle przy łóżku spoczywały korty i nankiny pana pisarza, sam zaś pan pisarz leżał w pościeli i czytał zeszyt *Izabeli hiszpańskiej* wydawnictwa pana Breslauera.

Położenie jego, to jest nie pana Breslauera, ale pana pisarza, było okropne, tak nawet okropne, że trzeba by mieć chyba styl Wiktora Hugo, żeby je opisać, jak było okropne.

Przed wszystkim w ranie czuł wściekły ból. Owo czytanie *Izabeli*, które było dlań zawsze najmilszą pociechą i rozrywką, teraz powiększało jeszcze nie tylko ból, ale i gorycz, jaka go trapiła po owym wypadku z Kruczkiem.

Miał trochę gorączki, ledwo mógł zebrać się z myślami. Czasem napędzały go straszne marzenia. Czytał właśnie, jak młody Serrano przybywa do Eskurialu pokryty ranami po świetnym zwycięstwie nad karlistami. Młoda Izabela przyjmuje go wzruszona i blada. Muślin fałuje żywo na jej piersiach.

— Jenerale! Tyś ranny? — pyta Serrana ze drzeniem w głosie.

Tu nieszczęśliwemu Zolzikiewiczowi zdaje się, że istotnie jest Serranem.

— Oj! oj! jestem ranny! — powtarza przygnębnym głosem. — Najjaśniejsza pani, przebacz! Nie mogę ci powiedzieć: gdzie. Etykieta nie pozwala. Oj! oj! A żeby to najjaśniejsze!...

— Spocznij, jenerale! Siadaj! siadaj! Opowiedz mi swoje bohaterskie czyny.

— Opowiedzieć mogę, ale usiąść żadną miarą — woła zdesperowany Serrano. — Oj! Wybacz, królowo. Ten przekłety Kruczek!... chciałem powiedzieć: Don Jose... Aj! aj! aj!

Tu ból rozprasza marzenie. Serrano rozgląda się; świeca pali się na stole i pryska, bo właśnie zaczęła się palić nasiąknięta lojem mucha; inne muchy łążą po ścianach... A? Więc to czworaki, nie Eskurial? Królowej Izabeli nie ma? Tu pan Zołzikiewicz przychodzi całkowicie do przytomności podnosi się na łóżku, macza chustkę w dzbanku z wodą stojącym pod łóżkiem i zmienia okład.

Po czym zwraca się do ściany, zasypia, a raczej rozmarza się w półśnie, w półjawie, oczywiście jedzie znowu jakby ekstrapocztą do Eskurialu.

— Miły Serrano! Kochanku mój! Sama opatrzę twe rany — szepcze królowa.

Serranowi włosy na głowie powstają. Czuje całą okropność swej pozycji. Jak tu nie posłuchać królowej, a jak tu zarazem poddać się interesującemu opatrunkowi? Zimny pot występuje mu na czoło, gdy nagle...

Nagle królowa znika, drzwi otwierają się z trzaskiem i staje w nich ni mniej, ni więcej, jak tylko Don Jose, zacięty wróg Serrana.

— Czego tu chcesz? Ktoś ty? — woła Serrano.

— To ja, Rzepa — odpowiada ponuro Don Jose.

Zołzikiewicz budzi się po raz drugi; Eskurial staje się znów murowańcem; świeca się pali, mucha przy knocie trzeszczy i pryska błękitnymi kropelkami; we drzwiach stoi Rzepa, a za nim... pióro wypada mi z ręki... przez półodchylone drzwi wsadza łeb i kark Kruczek.

Potwór trzyma oczy utkwione w pana Zołzikiewicza i zdaje się uśmiechać.

Zimny pot naprawdę występuje na skronie pana Zołzikiewicza, a przez głowę przelatuje mu myśl: „Rzepa przyszedł połamać mi kości, a Kruczek z drugiej strony...”

— Czego tu obaj chcecie? — woła wystraszonym głosem.

Ale Rzepa kładzie rubla na stół i odzywa się pokornie:

— Jelemozny pisarzu! A to ja przyszedłem wedle... tej branki.

— Won! won! won! — krzyknie na to Zołzikiewicz, w którego nagle duch wstąpił.

I wpadłszy w wściekłość zrywa się do Rzepy, ale w tej chwili w karlistowskiej ranie zabolalo go srodze, pada więc nazad na poduszki wydając tylko przygłuszone jęki:

— Oj! joj!

ROZDZIAŁ TRZECI. ROZMYŚLANIA I EUREKA!

Rana ogniła się.

Widzę, jak piękne czytelniczki poczynają lży ronić nad moim bohaterem, a zatem, nim która z nich zemdleje, pośpieszam dodać, że jednak bohater nie umarł z tej rany. Przeznaczonym mu było żyć jeszcze długo. Zresztą gdyby umarł, złamałbym pióro i skończył powieść, ale że nie umarł, ciągnę więc dalej.

Owóż więc rana ogniła się, ale nadspodziewanie wyszła na korzyść kanclerzowi z Baraniej Głowy, a stało się to bardzo prostym sposobem: ściągnęła mu *humoryz* głowy, więc zaczął myśleć jaśniej i zaraz poznał, że robił dotychczas same głupstwa. Bo tylko proszę posłuchać: kanclerz zagiął sobie, jak mówią w Warszawie, parol na Rzepową i nie dziwić się mu, bo też to była kobieta, jakiej drugiej nie znaleźć w całym powiecie osłowickim, chciał się więc pozbyć Rzepy. Gdyby raz Rzepę wzięli do wojska, kanclerz mógłby sobie powiedzieć: „Hulaj dusza bez kontusza”. Ale nie tak łatwo było zamiast wójtowego syna podsunąć Rzepę. Pisarz jest potęgą: Zołzikiewicz był potęgą między pisarzami, to jednak nieszczęście, że w sprawie poboru nie był ostatnią instancją. Tu przychodziło mieć do czynienia ze strażą ziemską, z komisją wojskową, z naczelnikiem powiatu, z naczelnikiem straży, które to wszystkie osobistości bynajmniej nie były interesowane, żeby zamiast Buraka obdarzyć armię i państwo Rzepą „Umieścić go w spisie wojskowym? Cóż dalej?” — pytał się siebie mój sympatyczny bohater. Spisy sprawdzą, a że metryki muszą być załączone i że Rzepie trudno także zakneblować usta, dadzą więc nosa, zrzucą może jeszcze z pisarstwa i skończyło się.

Najwięksi ludzie pod wpływem namiętności robili głupstwa, ale w tym właśnie ich wielkość, że poznawali się na tym dość wcześnie. Zołzikiewicz powiedział sobie, że obcawszy Burakowi zaciągnąć Rzepę na listę popisowych uczynił pierwsze głupstwo, po-

szedłszy do Rzepowej i napadłszy ją przy mędlicy uczynił drugie głupstwo; przestraszywszy ją i męża poborem, uczynił trzecie głupstwo. O chwilo szczytna! w której mąż prawdziwie wielki mówi sobie: „Jestem osłem!”, nadeszłaś wówczas i dla Baraniej Głowy, zleciałaś jakoby na skrzydłach z tej krainy, gdzie wzniosłe wspiera się na szczytnym, bo Zolzikiewicz powiedział sobie wyraźnie: „Jestem osłem!”

Czyż jednak miał porzucić plan teraz, kiedy oblał go już krwią własnych (w zapale powiedział: własnych piersi), miałżeby porzucić plan, gdy uświęcił go nowiutką parą kurtowych, za którą nie zapłacił jeszcze Srulowi i parą nankinowych, którą sam nie wiedział, czy dwa razy miał na sobie?

Nie i nigdy!

Przeciwnie, teraz, gdy do apetytu na Rzepową przyłączyła się jeszcze chęć zemsty nad obojgiem i nad Kruczkiem z nimi razem, Zolzikiewicz przysiągł sobie, że kpem będzie, jeżeli Rzepie sadła za skórę nie zaleje.

Myślał więc nad sposobami pierwszego dnia, zmieniając okłady, myślał drugiego, zmieniając okłady, myślał trzeciego, zmieniając okłady, i czy wiecie, co wymyślił? Oto nic nie wymyślił!

Na czwarty dzień przywiózł mu stójka z osłowieckiej apteki *diachylum*; Zolzikiewicz rozsmarował na płatek, przyłożył i — co za cudowne skutki tego *medicamentum*! — prawie jednocześnie wykrzyknął:

— Znalazłem!

Istotnie coś znalazł.

ROZDZIAŁ CZWARTY. KTÓRY BY MOŻNA ZATYTUŁOWAĆ: ZWIERZ W SIECI

W parę dni potem, nie wiem dobrze, czy w pięć, czy w sześć, w alkierzu karczmy baraniogłowskiej siedział wójt Burak, ławnik Gomuła i młody Rzepa. Wójt wziął za szklankę.

— Przestalibyście się o to swarzyć, kiedy nie mata o co! — rzekł wójt.

— A ja powiadam, że Francuz nie da się Prusakowi — mówi Gomuła uderzając pięścią o stół.

— Prusak, psia jucha, chytry! — odparł Rzepa.

— To co, że chytry? Turek pomoże Francuzowi, a Turek je namocniejszy.

— Co wy wieta. Namocniejszy jest Harubanda (Garibaldi)!

— Musiście wstali do góry... plecami. A wyście skąd wyrwali Harubandę?

— Co go miałem wyrwać? A bo to ludzie nie gadali, że sześć lat temu pływał po Wiśle ze statkami i z mocą wielką? Ino mu się piwo w Warszawie nie spodobało, bo zwyczajny doma lepszego, to się i wrócił.

— Nie bluźnilibyście po próżnicy. Kuźden Śwab to je Żyd.

— Przecie Harubanda nie Śwab.

— Ino co?

— Ba? co? musi: cysarz, i basta!

— Oj, strasnieście mądrzy!

— Wyście też nie mądrzejsi.

— A kiejsza tacy mądrzy, to powiedzta, jak ta było na przewisko pierwszemu rodzicowi?

— Jak? juści: Jadam.

— No, to na krzestne imię, ale na przewisko?

— Czy ja wiem.

— A widzita? A ja wiem: Na przewisko było mu: „Skruszyła”.

— Chybaście pypcia dostali.

— Nie wierzyta, to posłuchajta:

Gwiazdo morza, któraś Pana
Mlekiem swoim wykarmiła!
Tyś śmierci szczep, który wszczepił
Pierwszy rodzic, skruszyła.

- A co, czy nie Skruszyła?
- No, juści prawda.
- Napilibyście się lepiej — rzekł wójt.
- Zdrowie wasze, kumie!
- Zdrowie wasze!
- Haim!
- Siulim!
- Daj, Panie Boże, szczęście!

Wypili wszyscy trzej, ale że to było w czasie francusko — pruskiej wojny, ławnik więc Gomuła znowu wrócił do polityki.

— Francuzy — rzekł — to też jest bałamutny naród. Ja ich ta nie pamiętam, ale mój ojciec to powiadał, że jak stali u nas kwaterami, to ta sądny dzień był w całej Baraniej Głowie. Strasznie do bab ciekawe! Mere naszej chałupy mieszkał Staś, ociec Walentego, a u nich też stał Francuz — może i dwóch! — czy ja wiem? Aż tu się budzi Staś w nocy i mówi: „Kaśka, Kaśka! Mnie się widzi, że to Francuz coście kiele ciebie majstruje?” A ona powiada: „A i mnie się widzi to samo”. Tak Staś powiada: „A powiedzże mu, żeby sobie poszedł precz!” — „Ba — powiada baba — gadajże z nim, kiej on po polsku nie rozumie!” To i cóż miał robić.

- No! Napijwa się jeszcze — rzekł po chwili Burak.
- Daj, Panie Boże, szczęście!
- Panie Boże zapłać!
- No, za wasze zdrowie!

Napili się znowu, a że pili arak, Rzepa więc uderzył wypróżnioną szklanką o stół i rzekł:

- Ej, dobroć też to, dobroć!
- Ano jeszcze? — rzekł Burak.
- Nalejta!

Rzepa stawał się coraz czerwien szy, Burak dolewał mu ciągle.

— A wy — rzekł wreszcie do Rzepy — to choć korzec grochu zarzucita na plecy jedną ręką, a balibyście się pójść na wojnę!

— Co bym się miał bać? Kiej się bić, to się bić.

Gomuła na to rzekł:

- Jenszy jest mały, a odważny, jenszy wielgi i mocny, i bojący.
- A nieprawda! — rzekł Rzepa — ja ta nie jestem bojący.

Gomuła zaś na to:

— Kto was tam wie?

— A ja pojedam — odparł Rzepa pokazując pięść jak bochenek chleba — że ino bym was zajechał w pacierze tą pięścią, to rozlecielibyście się jak stara beczka.

— A może i nie.

— Chceta spróbować?

— Dajta spokój — wtrącił wójt. — Będzieta się bili czy co? Ot, napijwa się jeszcze.

Napili się znowu, ale Burak i Gomuła tylko że umoczyli usta. Rzepa zaś wypił całą szklankę araku, aż mu oko zbiełało.

— Pocałujta się teraz — rzekł wójt.

Rzepa aż się rozplakał przy uściskach i pocałunkach, co było znakiem, że już podpił dobrze; po czym zaczął wyrzekać, gorzko wspominając graniaste cielę, które dwa tygodnie temu zdechło mu w nocy w oborze.

— Oj! Jakiego to cielaka Pan Bóg zabrał ode mnie! — wołał żałośnie.

— No, nie smućta się! — rzekł Burak. — Do pisarza z urzędu przyszło pisanie, że pono dworski las pójdzie na gospodarzy.

Rzepa odpowiedział na to:

— I po sprawiedliwości! Albo to pan las siał?

Ale potem zaraz znów zaczął zawodzić:

— Oj! Co cielak był, to cielak; jak ta krowę huknął łbem przy ssaniu, to aż zadem pod belkę poleciała.

— Pisarz mówił...

— Co mi ta pisarz! — przerwał gniewnie Rzepa. — Pisarz dla mnie:

Tyle znaczy.
Co Ignacy...

— Nie pomstowalibyście! Napijwa się!

Napili się jeszcze raz. Rzepa jakoś się pocieszył i siadł spokojnie na zydlu, a wtem drzwi się otworzyły i ukazały się w nich: zielona czapka, zadarty nos i kozia bródka pisarza.

Rzepa, który czapkę miał nasuniętą na tył głowy, zrzucił ją zaraz na ziemię, powstał i wybełkotał:

— Pochwalony.

— Jest tu wójt? — spytał pisarz.

— Jest! — odpowiedziały trzy głosy.

Pisarz zbliżył się, zaraz też podleciał i Szmul arendarz z kieliszkiem araku. Zolzikiewicz powąchał, skrzywił się i siadł przy stole.

Chwilę panowało milczenie. Na koniec Gomuła zaczął:

— Panie pisarzu?

— Czego?

— Czy to prawda wedle tego boru?

— Prawda. Musicie tylko podpisać prośbę całą gromadą.

— Ja tam nie będę nic podpisywał — ozwał się Rzepa, który miał wstręt wspólny wszystkim chłopom do podpisywania swego nazwiska.

— Ciebie się też nikt nie będzie prosił. Nie podpisiesz, to nic nie dostaniesz. Twoja wola.

Rzepa zaczął się drapać w głowę, pisarz zaś, zwróciwszy się do wójta i do ławnika, rzekł tonem urzędowym:

— O lesie prawda, ale każdy musi ogrodzić swoją część płotem, żeby nie było sporów.

— To ta płot będzie więcej kosztował, niż las wart — wtrącił Rzepa.

Pisarz nie zwracał na niego uwagi.

— Na kosztą płotu — mówił do wójta i ławnika — rząd przysyła pieniądze. Jeszcze każdy na tym zarobi, bo wypada po pięćdziesiąt rubli na głowę.

Rzecie aż się oczy zaiskrzyły po pijanemu.

— A, jak tak, to podpiszę. A pieniądze gdzie są?

— Są u mnie — rzekł pisarz. — A to dokument.

To rzekłszy wydobył złożony we czworo papier i odczytał coś, czego chłopci wprawdzie nie rozumieli, ale radowali się bardzo; gdyby jednak Rzepa był trzeźwiejszy, dojrzałby, jak wójt mrugał na ławnika.

Potem, o dziwo! pisarz wydobywszy pieniądze rzekł:

— No! który pierwszy?

Podpisywali kolejno, gdy zasię Rzepa wziął się do pióra, Zolzikiewicz usunął dokument i rzekł:

— A może nie chcesz? Tu wszystko dobrowolnie.

— Co nie mam chcieć?

A pisarz na to:

— Szmul!

Szmul ukazał się we drzwiach.

— Ny, co pan pisarz chce?

— Chodź i ty na świadka, że tu wszystko dobrowolnie.

A potem znów powiada do Rzepy:

— Może nie chcesz?

Ale Rzepa już podpisał i żyda usadził nie gorszego od Szmula, potem wziął pieniądze od pisarza, całych pięćdziesiąt rubli, i schowawszy je za pazuchę zawołał:

— A dajta no jeszcze haraku!

Szmul przyniósł: wypili raz i drugi. Następnie Rzepa wsparł pięści na kolanach i począł drzemać.

Kiwnął się raz, kiwnął się drugi raz, na koniec zwałił się z zydlu mruknąwszy: „Boże! bądź miłościw mnie grzesznemu!” — i usnął.

Rzepowa nie przyszła po niego, bo wiedziała, że jeśli się upił, to może się jej co obe-
rwać. Tak i bywało. Na drugi dzień Rzepa przeproszał żonę, całował ją po rękach. Po
trzeźwemu nie dał jej nigdy złego słowa, ale po pijanemu czasem jej się co obrywało.

Przespał więc Rzepa w karczmie całą noc. Nazajutrz rozbudził się o wschodzie słońca.
Patrzy, wylupia oczy, aż to nie jego chałupa, ale karczma, i nie alkierz, w którym siedział
wczoraj, ale ogólna izba z szynkwasem.

— Imię Ojca i Syna, i Ducha.

Patrzy jeszcze lepiej, słońce już wschodzi i zagląda przez ubarwione szyby za szynkwas,
a w oknie stoi Szmul ubrany w śmiertelną koszulę i w cycele na głowie; stoi w oknie i kiwa
się, i modli się głośno.

— Szmul! psio-wiaro! — zawołał Rzepa.

Ale Szmul nic. Kiwnął się naprzód, kiwnął w tył; wyciągnął zza pazuchy jakiś rzemień,
pocałował go i dalej wrzeszczeć na Pana Boga, dziękując mu, że oto daje zorzę ranną
i słońce na niebie, że zdjął noc z ziemi, a uczynił dzień, że jest wielki i mocny.

Więc Rzepa zaczął się macać, jak robi każdy chłop przespawszy noc w karczmie. Na-
macał pieniądze.

— Jezus Maryja! A to co?

Tymczasem Szmul przestał się modlić i zdjawszy śmiertelną koszulę i cycele poszedł
je schować do alkierza, a potem wrócił wolnym krokiem, poważny i spokojny.

— Szmul!

— Ny, czego chcesz?

— Co to ja mam za pieniądze?

— Co, głupi, nie wiesz? Toć się — wczoraj z wójtem zgodziłeś, że za jego syna będziesz
losował, i pieniądze wzięłeś, i kontrakt podpisałeś.

Dopiero chłop zbladł jak ściana: rzucił czapkę o ziemię, potem sam grzmotnął się
o nią i jak nie ryknie, aż się szyby w karczmie zatrzęśły.

— No, pasioł won, ty sądat! — rzekł flegmatycznie Szmul.

W pół godziny potem Rzepa zbliżał się do chałupy; Rzepowa, która właśnie goto-
wała strawę, usłyszawszy go, jak skrzypiał wrotami, prosto od komina pobiegła na jego
spotkanie, gniewna bardzo.

— Ty pijaku! — zaczęła.

Ale spojrzawszy na niego, aż się sama przeraziła, bo ledwo go poznała!

— A tobie co jest?

Rzepa wszedł do chaty i z początku ani słowa nie mógł przemówić, tylko siadł na ławie
i patrzył w ziemię. Ale kobieta zaczęła pytać i dopytała wreszcie wszystkiego. „Zapredali
mnie — jako Żydy Chrystusa” — zakończył wreszcie Rzepa, nie bacząc, że Chrystus
w innych nieco warunkach został zapredany faryzeuszom... Wówczas ona z kolei uderzyła
w lament wielki; on za nią; dzieciak w kołysce zaczął wrzeszczeć; Kruczek we drzwiach
wył tak żałośnie, że aż z innych chałup powylatywały baby z łyżkami w ręku, pytając jedna
drugiej:

— Co się tam u Rzepów stało?

— Musiał ją bić czy co?

A tymczasem Rzepowa lamentowała jeszcze bardziej niż Rzepa, bo miłowała ona jego,
nieboga, nad wszystko w świecie.

ROZDZIAŁ PIĄTY. W KTÓRYM POZNAJEMY CIAŁO PRA- WODAWCZE BARANIEJ GŁOWY I GŁÓWNYCH JEGO PRZY- WÓDCÓW

Nazajutrz dzień było posiedzenie sądu gminnego. Ławnicy poschodzili się z całej gmi-
ny z wyjątkiem panów, *aliasszlachty*, z której jakkolwiek kilku było ławnikami, ale tych
kilku, nie chcąc różnić się od ogółu, trzymało się polityki angielskiej, to jest zasady nie-
interwencji, tak zachwalanej przez znakomitego męża stanu Johna Bright. Nie wyłączało
to jednak pośredniego wpływu „inteligencji” na losy gminne. Jeśli bowiem ktoś z „in-
teligencji” miał sprawę, wówczas w wigilię posiedzenia zapraszał pana Zolzikiewicza do

siebie, przynoszono następnie do pokoju przedstawiciela inteligencji — wódeczkę, podawano cygara i wtedy obgadywała się rzecz z łatwością. Potem następował obiad, na który zapraszano pana Zołzikiewicza uprzejmymi słowami: „Ano, siadaj, panie Zołzikiewicz! Siadaj!”

Pan Zołzikiewicz też siadał, a na drugi dzień mawiał niedbale do wójta: „Byłem wczoraj na obiedzie u Mieciszewskich, Skorabiewskich lub Ościeszynskich. Hm! Córka w domu jest: rozumiem, co to znaczy!” Przy obiedzie zaś pan Zołzikiewicz starał się zachowywać dobre maniery, jeść rozmaite zagadkowe potrawy tak, jak uważał, że inni jedzą, i nie okazywać przy tym, jakoby ta poufałość z dworem miała go zbyt mocno cieszyć.

Był to człowiek pełen taktu, który wszędzie umiał się znaleźć: dlatego też nie tylko nie tracił w takich razach śmiałości, ale wtrącał się do rozmowy wspominając przy tym „tego poczciwego komisarza” lub „tego wyborczego sobie naczelnika”, z którymi wczoraj lub onegdaj machnął małą pulkę po kopiejce punkt. Słowem, starał się okazać, że jest za pan brat z pierwszymi powagami w osłowskim powiecie. Uważał wprawdzie, że w czasie jego opowiadań panie dziwnie jakoś patrzyły w talerz, ale sądził, że to taka moda. Po obiedzie dziwiło go także nieraz, że szlachcic nie czekając, aż on się żegnać zacznie, klepał go w łopatkę i mówił: „No to bywaj zdrow, panie Zołzikiewicz!”, ale znów sądził, że to w dobrych towarzystwach przyjęte. Przy tym ściskając na pożegnanie rękę gospodarza domu uczuwał w niej zawsze coś szeleszczącego. Wówczas zginał palce i drapiąc szlachcica w dłoń, wygarniał z niej to „coś szeleszczącego” nie zapominając jednak nigdy dodać: „A panie dobrodzieju! Między nami to niepotrzebne! A co do sprawy, może pan dobrodziej być spokojny!”

Jakoż pan dobrodziej istotnie mógł być spokojny, pan Zołzikiewicz bowiem trzymał w rękę Buraka i ławnika Gomulę, a we trzech trzymali w rękę cały sąd, któremu pozostawionym było poświadczyć tylko to, co owa trójka postanowiła. Nie było w tym nic dziwnego, w każdym bowiem ciele zbiorowym jednostki genialne zagarniają zwykle cały wpływ, a z nim razem i ster w swoje ręce.

Przy tak sprężystym zarządzie i przy wrodzonych talentach pana Zołzikiewicza sprawy gminne szłyby zapewne jak najlepiej, gdyby nie jedno nieszczęście, a mianowicie, że pan Zołzikiewicz w niektórych tylko sprawach zabierał głos i tłumaczył sądowi, jak należy ze stanowiska prawnego na rzecz się zapatrywać; resztę zaś spraw, zwłaszcza nie poprzedzonych niczym szeleszczącym, pozostawiał samodzielnemu uznaniu sądu i podczas przebiegu ich spokojnie dłuwał w nosie, ku wielkiemu zaniepokojeniu ławników, którzy wówczas czuli się po prostu bez głowy.

Ze szlachty, a wyrażając się ściślej: z panów, jeden tylko pan Floss, dzierżawca Małych Postępowic, bywał początkowo jako ławnik na sądach gminnych i twierdził, że inteligencja powinna w nich brać udział. Ale miano mu to powszechnie za złe. Szlachta twierdziła bowiem, że pan Floss musi być „czerwony”, czego zresztą i samo nazwisko jego: Floss, dowodziło, chłopci zaś w demokratycznym poczuciu własnej odrębności utrzymywali, że nie wypada siadać panu na jednej ławie z chłopami, czego najlepszym dowodem jest, że „jensze panowie tego nie robią”. W ogóle chłopci mieli do zarzucenia panu Flossowi to, że nie jest panem z panów, że zaś nie lubił go i pan Zołzikiewicz, bo pan Floss nie starał się niczym szeleszczącym zasłużyć na jego przyjaźń, a raz na posiedzeniu jako ławnik nakazał mu nawet milczenie, niechęć więc ku niemu była powszechna; skutkiem czego usłyszał pewnego pięknego poranka wobec całej gminy z ust siedzącego obok ławnika, co następuje: „Albo to wielmożny pan — to pan? Pan Ościeszynski — to jest pan, pan Skorabiewski — to jest pan, a wielmożny pan — to nie pan, ino dorobiec”. Usłyszawszy to pan Floss, który właśnie także kupił był jakoś w owym czasie Kruchą Wolę, plunął na wszystko i gminę pozostawił gminie, tak jak w swoim czasie miasto pozostawiono miastu. Szlachta zaś mówiła: „Doigrał się”, przy czym na obronę zasady nieinterwencji przytaczano jedno z tych przysłów stanowiących mądrość narodów: „Smaruj chłopca etc”.

Gmina tedy, nie zakłócona udziałem „inteligencji”, radziła o własnych sprawach bez pomocy powyższego pierwiastka, a za pośrednictwem tylko baraniogłowskiego rozumu, który przecież dla Baraniej Głowy powinien był wystarczać na mocy teje zasady, na mocy której paryski rozum wystarcza dla Paryża albo np. autonomiczny galicyjski dla Galicji. Zresztą pewną jest rzeczą, że praktyczny rozsądek albo inaczej tak zwany w „Nadwiślańskim Kraju” i jemu przyległych okolicach „zdrowy chłopski rozum” więcej jest wart od

każdej obcozwoiłowej inteligencji, że zaś mieszkańcy tak wymienionego powyżej kraju, jak i jeszcze przyległych prowincji z urodzenia już ów „zdrowy rozum” na świat przynoszą, to — zdaje mi się — nie potrzebuje być dowodzonym.

Okazało się to także zaraz w Baraniej Głowie, gdy na posiedzeniu, o którym mowa, odczytano zapytanie z urzędu, czy gmina nie zechce własnym kosztem na przestrzeni swych gruntów naprawić gościńca wiodącego do Osłowic. Projekt ten w ogóle nadzwyczaj nie podobał się zgromadzonym *patres conscripti*, jeden zaś z miejscowych senatorów wyraził świątły pogląd, że gościńca nie ma potrzeby naprawiać, bo można jeździć przez łąkę pana Skorabiewskiego. Gdyby pan Skorabiewski był obecny na posiedzeniu, byłby zapewne znalazł coś do nadmienienia przeciwko temu *pro publico bono*, ale pana Skorabiewskiego nie było, i on bowiem trzymał się zasady nieinterwencji. Projekt więc byłby przeszedł niezawodnie *unanimitate*, gdyby nie to, że pan Zolzikiewicz był poprzedniego dnia na obiedzie, podczas którego opowiadał panie Jadwidze scenę uduszenia dwóch generałów hiszpańskich w Madrycie, wyczytaną w *Izabeli hiszpańskiej* wydawnictwa pana Breslauera, po obiedzie zaś przy uściśnięciu dłoni pana Skorabiewskiego poczuł w ręku coś szeleszczącego. Pan pisarz tedy, zamiast zapisać poprawkę, przestał dłużyć w nosie i położył pióro, co oznaczało zawsze, że pragnie głos zabrać.

— Pan pisarz chce cosik powiedzieć — rozległy się głosy w zgromadzeniu.

— Ja chcę powiedzieć, żeście durnie — odpowiedział z flegmą pan pisarz.

Potęga prawdziwej parlamentarnej wymowy, choćby w najtreściwszej zawarta formie, tak jest wielka, że po powyższym orędziu, oznaczającym protest przeciw poprawce i w ogóle przeciw administracyjnej polityce ciała baraniogłowskiego, ciało wymienione poczęło spoglądać po sobie z niepokojem i drapać się w szlachetne organa myślenia, co u tego ciała było niezawodną oznaką głębszego w rzecz wnikania. Wreszcie po długiej chwili milczenia jeden z jego reprezentantów ozwał się tonem zapytania:

— Abo co?

— Boście durnie!

— Musi tak być! — ozwał się jeden głos.

— Łąka łąką — dodał drugi.

— A na wiosnę to nawet bez nią nie przejechać — zakończył trzeci.

Skutkiem tego poprawka zalecająca łąkę pana Skorabiewskiego upadła, przyjęto projekt urzędowy i zaczął się rozkład kosztów naprawy gościńca wedle nadesłanego kosztorysu. Początkowo postawiono jeszcze projekt, aby koszta te poniósł wyłącznie dwór, który za to pozostaje w niezaprzeczonej już używalności łąki, ale gdy i ten nowy projekt dzięki panu Zolzikiewiczowi upadł, starania każdego z prawodawców zwróciły się już tylko do zwalania ciężaru z siebie na drugiego i do niepozabawiania bliźniego tej wewnętrznej słodyczy i zadowolenia, jakie są bezpośrednim wpływem poczucia, że dla dobra ogólnego ponosi się jak największe ofiary. Sprawiedliwość do tego stopnia była już wkorzeniona w umyśle ciała prawodawczego baraniogłowskiego, że nie udało się nikomu wykręcić z wyjątkiem samego wójta i ławnika Gomuły, którzy natomiast wzięli na siebie ciężar przypilnowania, ażeby wszystko szło jak najprędzej.

Należy jednak wyznać, że tak bezinteresowne poświęcenie się ze strony wójta i ławnika, jak każda cnota wychodząca poza obręb wspólnoty, obudziło pewną zazdrość w innych ławnikach, a nawet wywołało jeden głos protestacji, który ozwał się gniewliwie:

— A wy to dlaczego nie będziecie płacić?

— A coże my to będziemy darmo pieniądze dawać, kiej tego, co wy zapłacicie, wystarczy — powiedział na to Gomuła.

Był to argument, na który — spodziewam się — nie tylko zdrowy rozsądek baraniogłowski, ale i żaden inny nie znalazłby odpowiedzi; głos zatem protestującego umilkł na chwilę, a po chwili odrzekł tonem przekonania:

— A prawda!

Sprawa była całkowicie ukończona i przystąpiono by zapewne bezzwłocznie do roztrząsania innych, gdyby nie nagle a niespodziewane wtargnięcie do izby prawodawczej dwóch prosiąt, które wpadły jak szalone przez niedomknięte drzwi, zaczęły bez żadnej rozumnej przyczyny latać po izbie, kręcić się pod nogami i kwiczeć wniebogłose. Oczywiście obrady zostały przerwane, ciało prawodawcze zaś rzuciło się w pogoń za intruzami i przez pewien czas deputowani z rzadką jednomyślnością powtarzali: „A syk! a ciu! ażeby

was paralus!” i tym podobnie. Prosięta tymczasem zabiły się pod nogi pana Zołzikiewicza i splamiły mu jakąś nadzwyczaj podejrzaną zielonością drugą parę kortowych koloru piaskowego, o której to zieloności — gdyby nasze gazety miały jak się należy korespondencję z prowincji — czytalibyśmy, że się wyprać nie dała, choć pan Zołzikiewicz zmywał ją glicerynowym mydłem i tarł własną szczoteczką od zębów.

Dzięki jednak stanowczości i energii, która jak nigdy, tak i w tym wypadku nie opuściła przedstawicieli gminy baraniogłowskiej, prosięta zostały pochwycone za zadnie nogi i mimo najusilniejszych protestacji wyrzucone za drzwi, po czym już można było przejść do porządku dziennego. Na porządku tym znajdowała się obecnie sprawa włościanina imieniem Środa ze wzmiankowanym wyżej panem Flossem. Zdarzyło się, że woły Środy, najadłszy się w nocy koniczyny pana Flossa, nad ranem opuściły ten padół łąz i łączy, przeniósłszy się do lepszego — wołowego świata. Zrozpaczony Środa przedstawił całą tę smutną sprawę sądowi prosząc o poratowanie i sprawiedliwość.

Sąd, wniknąwszy w głąb rzeczy, z właściwą sobie bystrością doszedł do przekonania, że choć Środa puścił umyślnie woły na pole Flossa, jednakże gdyby na tym polu rósł np. owies albo pszenica, nie zaś ta „gadzina” koniczyna, woły cieszyłoby się dotychczas najlepszym i najpożądalszym zdrowiem i z pewnością nie doznałoby tych smutnych przypadłości rozdęcia, których padły ofiarą. Wychodząc z tej premisy większej i przechodząc drogą równie logiczną, jak ściśle prawną do mniejszej, sąd wniósł, że przyczyną śmierci wołów w każdym razie był nie Środa, ale pan Floss; zatem pan Floss powinien Środzie za woły zapłacić, tytułem zaś przestrogi na przyszłość wnieść do kasy gminnej na kancelarię rs. 5. Suma powyższa na wypadek, gdyby obwiniony wypłaty jej odmówił, miała być ściągnięta z jego pachciarza Icka Zwejnos.

Następnie sądzono jeszcze wiele spraw natury cywilnej, wszystkie zaś one, o ile dotyczyły bliżej lub dalej genialnego Zołzikiewicza, były sądzone zupełnie samodzielnie, a przy tym na wagach czystej sprawiedliwości zawieszonych na gwicchie zdrowego baraniogłowskiego rozumu. Dzięki przy tym angielskiej zasadzie nieinterwencji, jakiej trzymała się wspomniana już wyżej „inteligencja”, powszechna zgoda i jednomyślność rzadko tylko bywały zakłócanie obocznymi wzmiankami o paraliżu i przegniciu wątroby, i morowej zarazie, wypowiedzanymi sobie mimochodem w kształcie życzeń, tak przez strony sporne, jak i przez samych sędziów.

Sądzę, że również dzięki tej nieocenionej zasadzie nieinterwencji wszystkie sprawy mogły być rozstrzygane w ten sposób, że tak strona wygrywająca, jak i przegrywająca wносиły zawsze pewne kwoty, stosunkowo dość znaczne, „na kancelarię”. Zapewniało to ubocznie tak pożądaną w instytucjach gminnych niezależność wójta i pisarza, a wprost mogło odczytać ludzi pieniactwa i podnieść moralność gminy Barania Głowa do stanu, o jakim na próżno marzyli filozofowie XVIII stulecia. Godnym było uwagi także i to, o czym zresztą wstrzymujemy się od wypowiedzenia pochwalnego lub nagannego zdania, że pan Zołzikiewicz zapisywał do ksiąg zawsze tylko połowę kwot przeznaczonych na kancelarię, druga zaś połowa przeznaczona była na „nieprzewidziane wypadki”, w jakich znaleźć się mogli pisarz, wójt i ławnik Gomuła.

Na koniec przystąpiono do sądzenia spraw kryminalnych, skutkiem czego wydano rozkaz stojące przyprowadzenia więźniów i stawienia ich przed oblicze sądu. Nie potrzebuję dodawać, że w gminie Barania Głowa przyjęty był najnowszy i najbardziej zgodny z wymaganiami cywilizacji system więzienia cellowego, czyli komórkowego. Nie może to być podawanym przez złe języki w żadną wątpliwość. Jeszcze dziś każdy może się przekonać, że w wójtowskim chlewku w Baraniej Głowie znajduje się aż cztery przegrrody. Więźniowie siedzieli w nich samotnie, w towarzystwie tych zwierząt, o których pewna *Zoologia dla użytku młodzieżymówi*: „Świnia, zwierzę słusznie tak nazwane dla swojej niechlujności etc.”, a którym natura bezwarunkowo odmówiła rogów, co może także służyć za dowód jej celowości. Otóż więźniowie siedzieli w komórkach tylko w takim towarzystwie, co, jak wiadomo, nie mogło im przeszkadzać w oddawaniu się refleksji, rozmyślaniom nad złem popełnionym i przedsięwzięciu poprawy życia.

Stójka tedy udał się bezzwłocznie do owego cellowego więzienia i z celek jego przyprowadził przed oblicze sądu nie dwóch, ale wyraźnie *dwój* przestępców, z czego czytelnik może wnieść łatwo, jak delikatnej natury i jak głęboko psychologicznie zawikłane spr-

wy przychodziło czasem baraniogłowskiemu sądowi rozstrzygać. Jakoż istotnie sprawa była arcydelikatna. Pewien Romeo, inaczej zwany Wach Rechnio, i pewna Julia, inaczej zwana Baśka Żabianka, służyli razem u pewnego gospodarza: on za parobka, ona za dziewczkę. I co tu ukrywać, kochali się nie mogąc żyć bez siebie, tak jak Newazendech bez Bezendecha, słowem: kochali się, nie wiem, czy platonicznie, ale słowo na to daję, że energicznie. Wkrótce jednak zazdrość wkradła się między Romea i Julię, ponieważ ta ostatnia ujrzała raz Romea zabawiającego się przydługu z Jagną ze dworu. Odtąd nieszczęśliwa Julia czekała tylko okazji. Jakoż pewnego dnia, gdy Romeo, wedle zapatrywania się Julii, za wcześniej przyszedł z pola i natarczywie domagał się jeść, przyszło do wybuchu i z obopólnych wyjaśnień, przy czym zamieniono wzajemnie kilka tuzinów uderzeń pięścią i warząchwią. Oczywiście ślady tych uderzeń widne były w sińcach na idealnej twarzy Julii, również jak i na rozciętym czole pełnego męskiej dumy oblicza Romea. Sądowi pozostało teraz zawyrokować, po czyjej stronie była słuszność i kto komu miał wręczyć tytułem wynagrodzenia, tak za zawód miłosny, jak i za skutki wybuchu, złotych pięć, czyli, wyrażając się poprawniej, kop. sr. siedemdziesiąt pięć.

Zdrowej duchowej treści sądu nie zdołał jeszcze owionąć przegniły powiew Zachodu; dlatego brzydząc się do głębi duszy emancypacją kobiet, jako rzeczą wprost przeciwną więcej sielankowym usposobieniom słowiańskim, sąd dał pierwszy głos Romeowi, który trzymając się za rozcięty łeb tak mówić począł:

— Jelemożny sądzie! A to ta psiajucha już dawno spokoju mi nie daje. Przyszedłem, jak kto dobry, na podwieczerek, a ona do mnie: „Ty psie, kasztanie, powiada, to gospodarz jeszcze w polu, a ty, pada, przychodzisz już do domu? Za piecem, pada, się układasz i będziesz na mnie mrygał?” A ja nigdy na nią nie mrygałem, ino co mnie widziała z Jagną ze dworu, com jej pomógł wiader ze studni wyciągać, to od tego czasu na mnie zła. Huknęła mi misą o stół, mało mi strawa nie wyleciała, a potem i poźreć nie dała, tylko tak mi wymyślała: „Ty pogański synu, pada, ty odmiercze, ty omętro, ty sufraganie!” Dopiero jak mi powiedziała: „sufraganie”, tak ja ją w pysk, ale ino tak, przez złości, a ona mnie warząchwią w łeb...

Tu idealna Julia nie mogła już wytrzymać, ale złożywszy pięść i podsunąwszy ją pod nos Romea, krzyknęła przeraźliwym głosem:

— A nieprawda! Nieprawda! Nieprawda! Szczekasz jak pies!

Potem rozplakała się całym wezbranym sercem i zwróciwszy się do sądu zaczęła wołać:

— Jelemożny sądzie! Oj, ja nieszczęśliwa sierota, a dlaboga, rety! Nie przy studni ja jego z Jagną widziałam, żeby ich olśnęło! — ino widziałam, jak poszli w żyto i tam z pięć pacierzy siedzieli. Rozpuśniku, powiadam, małoś ty razy „gadoł” do mnie, co mnie tak kochasz, żebyś ino zaraz chciał mnie pięścią pod ziobro! A żeby on skapiał, żeby jemu język kołem stanął! Nie warząchwią by jego po łbie, oj! doloż moja! ino kłonicą. Słońce jeszcze wysoko, a on już z pola schodzi i żreć woła! Mówię mu, jak komu dobremu, grzecznie: „Ty złodziejski potrecie, to gospodarz jeszcze w polu, a ty już do dom?” Ale „sufraganie” mu nie mówiłam, tak mi Panie Boże dopomóż... A żeby jego...

W tym miejscu wójt przywołał do porządku obwinioną, uczyniwszy jej uwagę w kształcie zapytania:

— Nie stuliszże ty mordy, utrapiona?

Nastąpiła chwilowa cisza, sąd począł się namyślać nad wyrokiem i — co za delikatne poczucie sytuacji! — pięciu złotych nie przysądził żadnej stronie, ale tylko, tak dla zachowania swej powagi, jak i dla przestrogi wszystkim zakochanym parom w całej Baraniej Głowie, skazał skarżących się na odsiedzenie jeszcze dwudziestu czterech godzin w cellowym więzieniu i na zapłacenie na kancelarię po rubli srebrem jeden.

„Od Wacha Rechnia i Baśki Żabianki na kancelarię po kopiejek srebrem pięćdziesiąt” — zapisał pan Zolzikiewicz.

Po czym posiedzenie było skończone. Pan Zolzikiewicz wstał i pociągnął swoje kortowe koloru piaskowego w górę, a fioletową kamizelkę na dół. Ławnicy w zamiarze rozejścia się już brali za czapki i bicze, gdy nagle drzwi zamknięte po napadzie prosiąt rozwarły się na rozcież i ukazał się w nich Rzepa, chmurny jak noc, a za nim Rzepowa i Kruczek.

Rzepowa była bledzusięńka jak płótno; jej śliczne, delikatne rysy wyrażały smutek i pokorę, a w wielkich czarnych oczach ukazywały się łzy, ściekające następnie po policzkach.

Rzepa wszedł było hardy, z głową zadartą, ale jak zobaczył cały sąd, a „mętał” na wójcie, a krucyfiks, a kozią bródkę i zadarty nos na wysokich nogach, tak zaraz stracił minę i dość cichym głosem ozwał się:

— Niech będzie pochwalony!

— Na wieki wieków! — odpowiedzieli chórem ławnicy.

— A wy tu czego chceta? — spytał groźnie wójt, który zrazu zmieszał się, ale już przyszedł do siebie. — Sprawę jaką mata? Pobiliście się czy co?

Nadspodziewanie pan pisarz wtrącił:

— Dajcie im mówić.

Rzepa zaczął:

— Jelemożny sędzie... A niech to najjaśniejsze...

— Cichaj! Cichaj! — przerwała kobieta — dajże mnie mówić, a ty cicho siedź.

To rzekłszy obtarła fartuchem łzy i nos i głosem drgającym poczęła opowiadać całą sprawę. Ach! Ale gdzież to ona przyszła? Oto przyszła na skargę na wójta i na pisarza: przed... wójta i pisarza. „Wzięli go — mówiła — obiecowali mu las, byle podpisał, to i podpisał. Dali mu pięćdziesiąt rubli, a on był pijany i nie wiedział, że zaprzedał dolę swoją i moją, i dzieciaka. Pijany był, wielmożny sędzie, pijany jak nieboskie stworzenie — mówiła dalej już z płaczem. — Toć pijany nie wie, co robi, toć i w sędzie, jak kto po pijanemu przeskrobie, to mu folgują, bo powiadają: nie wiedział, co robił. Na miłosierdzie boże! A toć trzeźwy człowiek nie sprzedałby za pięćdziesiąt rubli doli swojej! Oj! Ulitujta wy się nade mną i nad nim, i nad dzieckiem niewinnym! W co ja się obróćę, nieszczęśliwa, sama samiuteńka na świecie bez niego, bez «nieboracyska» mojego! Oj, Bóg wam za to da szczęście i zapłaci wam za biedaków!”

Tu łkanie przerwało jej dalsze słowa. Rzepa także płakał i wycierał co chwila nos w palce. Ławnicy posowieli i spoglądali jeden na drugiego, to znów na pisarza i wójta, nie wiedząc, co czynić.

Aż Rzepowa znowu zebrała się z głosem i tak mówić poczęła:

— Chłoposko chodzi jak struty. „Ciebie, powiada, zabiję, dzieciaka zgładzę, chałupę spalę, a powiada, nie pójdę i nie pójdę”. A cóżem ja winna, nieboga? albo i dzieciak? On już ani do gospodarstwa, ani do kosy, ani do siekiery, ino siedzi w izbie i wdycha, i wdycha, ale ja sądu czekałam; toć wy, ludzie, macie Boga w sercu i na naszą krzywdę nie pozwolicie. Jezusie Nazareński, o Matko Boska Częstochowska! Przyczyńże Ty się, przyczyń za nami!...

Przez chwilę słychać znów było tylko szlochanie Rzepowej, na koniec stary jeden ławnik mruknął:

— A, dyć to nieładno człeka upoić i zaprzedać.

— Bo i nieładno! — odpowiedzieli inni.

— Niech was Bóg i Przenajświętsza Jego Rodzicielka błogosławi — zawołała klękając w progu Rzepowa.

Wójt zasromał się, nie mniej markotny był i ławnik Gomuła; obaj zaś spoglądali na pisarza, który dłuwał w nosie, ale gdy Rzepowa skończyła, przestał dłuwać w nosie i rzekł do mruczających ławników:

— Jesteście durnie!

Nastała cisza, jak makiem siał, pisarz mówił dalej:

— Wyraźnie stoi napisane, że kto się będzie wtrącał do dobrowolnego kontraktu, będzie sądzony morskim sądem, a czy wiecie, durnie, co to jest morski sąd? Wy tego, durnie, nie wiecie, morski sąd to jest...

Tu wydobył chustkę i utarł nos, w którym przez ten czas nagromadziło się sporo materiału, potem głosem zimnym i urzędowym tak dalej swoją rzecz prowadził:

— Który, kpie jeden z drugim, nie wiesz, co jest morski sąd, to wsadź tylko nos w taką sprawę, a poznasz, co to jest morski sąd, aż cię siódma skóra zabolí. Jak się ochotnik znajdzie za popisowego, to tobie jednemu z drugim wtrącać się do nich wara. Ugo-da podpisana, świadkowie są, i szabas! To się rozumie w konstytucji, w jurysprudencji i w prawie pierwszego zwołu komisji najwyższej do spraw włościńskich, a nie wierzysz, to patrz w procedurze i w zsyłkach. A jeśli i piją przy tym, to i cóż? Albo to wy nie pijecie, durnie, zawsze i wszędzie?

Gdyby sama sprawiedliwość z wagą w jednym, a gołym mieczem w drugim rękę wylazła zza wójtowskiego pieca i stanęła nagle między ławnikami, nie byłaby ich więcej przestraszyła jak ten morski sąd, konstytucje, jurysprudence, procedury i zsyłki. Przez chwilę panowało głucho milczenie i dopiero po jakimś czasie ozwał się Gomuła cichym głosem, na który obejrżeli się wszyscy, jakby zdziwieni jego śmiałością:

— Dyc prawda! Konie sprzedasz, napijesz się; wołu sprzedasz, też; świnię, też. To już taki obyczaj.

— Toćwa napiliśmy się i wtedy ino wedle obyczaju — wtrącił wójt.

A potem ławnicy śmieiej zwrócili się do Rzepy:

— Cóż, kiejs sobie piwa nawarzył, to go pij.

— Albo to tobie sześć lat? Albo ty nie wiesz, co robisz?

— Łba ci przecięć nie urwą.

— A jak pójdiesz do wojska, to se do dom możesz parobka nająć: on cię ta zastąpi i przy chałupie, i przy kobiecie.

Wesołość poczęła ogarniać z wolna zgromadzenie.

Nagle pisarz znowu otworzył usta: uciszyło się wszystko.

— Ale wy nie wiecie — mówił — w co wam się wtrącać, a czego nie tykać. W to, że Rzepa groził żonie i dzieciakowi, w to, że obiecywał spalić własną chałupę, w to wy się wtrącać możecie i takiej rzeczy płazem nie puścić. Kiedy Rzepowa przyszła na skargę, niechże od sądu bez sprawiedliwości nie odchodzi.

— Nieprawda! Nieprawda! — zawołała z rozpaczą Rzepowa. — Ja się nie skarżyłam, ja ta nigdy żadny krzywdy od niego nie doznałam. O! Jezusie, o rany słodkie Boga żywego, chyba się świat już skończył!

Ale sąd się zagaił i bezpośrednim jego rezultatem było, że Rzepowie nie tylko nic nie wskórali, ale jeszcze sąd, w słusznej troskliwości tak o porządek publiczny, jako i o całość Rzepowej, postanowił ją ubezpieczyć przez zamknięcie Rzepy w chlewku na dwa dni. Żeby zaś na przyszłość podobne myśli nie przychodziły mu do głowy, postanowionym było przy tym, żeby na kancelarię zapłacił rubli srebrem dwa kopiejek pięćdziesiąt.

Ale Rzepa rzucił się jak wściekły i krzyknął, że do chlewka nie pójdzie; co zaś do kancelaryjnego, to nie dwa, ale pięćdziesiąt rubli wziętych od wójta rzucił na ziemię wołając: „Niech je se ta bierze, kto chce!” Zaczął się rozgardiasz straszny. Stójka wpaść i dalej Rzepę ciągnąć; Rzepa go pięścią, on Rzepę za łeb; Rzepowa w krzyk, aż jeden z ławników wziął ją za kark i wyrzucił za drzwi dawszy pięścią w krzyż na drogę, inni zaś pomogli stójce zaciągnąć Rzepę za kołtuny do chlewka.

Pisarz tymczasem zapisał: „Od Wawrzona Rzepy rs. 1 kop. 25 na kancelarię”.

Rzepowa szła do pustej chałupy prawie bez przytomności. Nie widziała nic przed sobą i co kamień, to się o niego potknęła, a ręce łamała nad głową, a zawodziła:

— Oo! oo! oo!

Wójt, że to miał serce dobre, więc idąc z wolna z Gomulą ku karczmie rzekł:

— Mnie ta cosik tej baby żal. Albo im dołożę jeszcze ćwiartczynę grochu, albo co?

Tymczasem stary ławnik, ten sam, który ujmował się za Rzepową, mówił do drugich:

— A ja wam pojadam, żeby ino panowie na sądy chodzowali, to by takich rzeczy się nie działo.

To rzekwszy siadł na wóz, machnął biczem i pojechał — bo on nie był z Baraniej Głowy.

ROZDZIAŁ SZÓSTY. IMOGENA

Tu spodziewam się, że czytelnik dostatecznie zrozumiał już i ocenił genialny plan mego sympatycznego bohatera. Dał pan Zołzikiewicz, co się nazywa, szach mat Rzepowej i Rzepie. Zapisać Rzepę na listę to do niczego nie wiodło. Ale upoić go, sprawić, żeby sam ugodę podpisał, pieniądze wziął, to trochę wikłało sprawę i było zręcznością dowodzącą, że przy zbiegu okoliczności pan Zołzikiewicz mógłby odegrać znakomitą rolę, np. w świecie dyplomatycznym. Wójt, który był gotów syna za ośmset rubli, to jest zapewne całą swoją „koprowinę”, wykupić, zgodził się na ten plan z radością, tym bardziej że Zołzikiewicz, równie umiarkowany jak genialny, wziął dla siebie tylko dwadzieścia pięć rubli za sprawę. Ale on i te pieniądze wziął nie z chciwości, tak jak również nie z chciwości

dzielił się kancelaryjnym z Burakiem. Mamże wyznać, że pan Zołzikiewicz był w ciągłych długach u Srula, krawca z Osłowic, który całą okolicę zaopatrywał w „cisto paryską” garderobę?

Ale teraz, gdy już raz wszedł na drogę wyznań, nie będę ukrywał, dlaczego pan Zołzikiewicz ubierał się tak starannie. Płynęło to zapewne z estetycznego poczucia, ale był i inny powód. Oto pan Zołzikiewicz się kochał. Nie myślcie jednak, żeby w Rzepowej. Na Rzepową miał, jak się kiedyś wyraził sam, „apetycik”, i basta. Ale oprócz tego pan Zołzikiewicz zdolny był i do uczuć wyżej sięgających i bardziej złożonych. Czytelniczki, jeżeli nie czytelnicy, domyślają się już zapewne, że przedmiotem tych ostatnich uczuć nie mógł być przecie kto inny, jak panna Jadwiga Skorabiewska. Nieraz, kiedy na niebo wschodził srebrny księżyc, pan Zołzikiewicz brał harmonijkę, na którym to instrumencie grywał biegle, siadał na ławce przed czworakami i spoglądając w stronę dwora, przy melancholicznych, a czasem i sapiących dźwiękach nucił:

A od samego prawie świtania
Do późnej nocy lży leję;
W nocy oddycham przez ciężkie wzdychania,
Straciłem wszelką nadzieję.

Głos biegł w stronę dworu wśród poetycznej ciszy nocy letnich, a pan Zołzikiewicz dodawał jeszcze po chwili:

O ludzie, ludzie, ludzie nieczuli,
Coście młodzieńca życie zatruli.

Kto by jednak chciał posądzać pana Zołzikiewicza o sentymentalizm, temu wręcz powiem, że się myli. Nadto trzeźwy był umysł tego wielkiego człowieka, aby być sentymentalnym; w marzeniach też jego zwykle panna Jadwiga podstawiła się za Izabelę, on za Serrana lub Marforego, a tam już wykładnik tego stosunku bywał taki sam jak w Hiszpanii, to jest całowanie w pończochy i tam dalej. Że jednak rzeczywistość nie odpowiadała marzeniom, więc ten żelazny człowiek raz jeden zdradził się ze swoim uczuciem, a mianowicie wtedy, kiedy pewnego wieczora spostrzegł na sznurze koło drwalni suszące się spódnice i po znakach J.S. wraz z koroną przy rozporku poznał, że należą do panny Jadwigi. Wówczas, powiedz pan dobrodziej, któż by wytrzymał? Więc i on nie wytrzymał; zbliżył się i począł gorąco całować jedną z tych spódnic, co zobaczywszy dworska dziewczka Małgośka poleciała zaraz do dworu z językiem i doniesieniem, że „pan pisarz nos se w panienki spódnice wyciero”. Na szczęście jednak nie uwierzono temu, tym bardziej że na spódnicy nie było żadnego *corpus delicti*— i tak uczucie pana pisarza pozostało nie znanym nikomu.

Czy jednak miał jaką nadzieję? Nie bierzcie mu, państwo dobrodziejstwo, tego za złe: miał! Ile razy szedł do dwora, jakiś głos wewnętrzny, słaby wprawdzie, ale nieustający, szeptał mu do ucha: „A nuż dziś panna Jadwiga w czasie obiadu przydepcie ci nogę pod stołem?...”

— Hm! mniejsza by i o lakierki — dodawał z ową wielkością duszy właściwą prawdziwie zakochanym.

Czytanie wydawnictw pana Breslauera dawało mu wiarę w możliwość rozmaitych przydeptywań. Ale panna Jadwiga nie tylko mu nic nie przydeptywała, ale — któż zrozumie kobietę?! — patrzyła na niego tak, jakby patrzyła na płot, na kota, na talerz lub coś podobnego. Co on się biedak nie namęczył, żeby zwrócić jej uwagę na siebie. Nieraz zawiązując niesłychanego koloru krawat lub kładąc jakieś nowe korty z bajecznymi lampasami myślał sobie: „No, teraz przecież zauważy!” Sam Srul odnosząc mu nowe ubranie mawiał: „Ny! W takich spodniach to choćby z psieprosieniem do hrabianki można iść”. Gdzie tam! Przyszedł było na obiad; wchodzi panna Jadwiga, dumna, niepokalana i czysta, jakby jaka królowa: zaszeleści suknią, fałdami i fałdeczkami otaczającymi marmurowe tajemnice jej ciała; potem siada, bierze w cienkie paluszki łyżkę i ani spojrzę.

„Czy ona nie rozumie, że to i kosztuje!” — myślał z rozpaczą Zołzikiewicz.

Jednak nadziei nie tracił. „Gdyby tak zostać podrewizorem! — myślał — człowiek by ani nogą ze dworu. Z podrewizora do rewizora niedaleko! człowiek by miał najtyczankę, parę koni, a to choćby już wtedy przynajmniej rękę uściśnęła pod stołem...” Pan Zolzikiewicz zapuszczał się jeszcze w niezmiernie dalekie konsekwencje tego uściśnienia ręki, ale myśli tych, jak zbyt tajemnie—serdecznych, zdradzać już nie będziemy.

Jaka to jednak była natura bogata ten pan Zolzikiewicz, dowodzi tego łatwość, z jaką obok idealnego uczucia dla panny Jadwigi, które zresztą odpowiadało arystokratycznym usposobieniom tego młodzieńca, mieściło się w nim równoznaczne z „apetycikiem” uczucie do Rzepowej. Prawda, że Rzepowa była śliczna kobieta, co się nazywa; nie byłby jednak zapewne ów baraniogłowski Don Juan tyle jej zachodów poświęcał, gdyby nie dziwna i zasługująca na ukaranie oporność tej kobiety. Oporność w prostej kobiecie — i komu? jemu — wydawała się panu Zolzikiewiczowi czymś tak zuchwałym, a zarazem niesłychanym, że nie tylko Rzepowa nabrała zaraz w jego oczach uroku zakazanego owocu, ale postanowił przy tym dać jej naukę, na jaką zasługiwała. Zajście z Kruczkim ustaliło go jeszcze w przedsięwzięciu. Wiedział jednak, że ofiara będzie się bronić, dlatego wymyślił ową dobrowolną ugodę Rzepy z wójtem, która oddawała pozornie przynajmniej na jego łaskę i niełaskę tak samego Rzepę, jak i całą jego rodzinę.

Ale Rzepowa po owym zajściu w sądzie nie dawała jeszcze za wygraną. Nazajutrz była niedziela, postanowiła więc pójść, jak zwykle, na sumę do Wrzeczędzy, a zarazem poradzić się księdza. Księży było dwóch: jeden proboszcz, kanonik Ulanowski, ale tak już stary, że aż mu oczy ze starości na wierzch wyłaziły jak rybie, a głowa trzęsła się na obie strony; nie do niego postanowiła więc udać się Rzepowa, ale do wikarego, księdza Czyżyka, który był człowiek bardzo świątobliwy i rozumny, mógł więc dobrą radę dać i pocieszyć. Chciała było Rzepowa pójść wcześniej i jeszcze przed sumą się z księdzem Czyżykiem rozmówić, ale że to musiała i za siebie, i za męża robić, bo mąż siedział w chlewku, nim wiecej poprzatnęła chałupę, nim dała jeść koniowi, świniom i krowie, nim ugotowała śniadanie i zaniósła je w dwojakach Rzepie do chlewa, słońce było już wysoko i wymiarkowała, że przed sumą nie zdąży.

Jakoż gdy przyszała, nabożeństwo już się zaczęło. Kobiety poubierane w zielone przyjaściółki siedziały na cmentarzu i duchem kładły trzewiki, które ze sobą w rękach przyniosły. Uczyniła tak i Rzepowa i zaraz do kościoła. Ksiądz Czyżyk właśnie miał kazanie, a kanonik siedział w birecie na krześle wedle ołtarza i wytrzeszczał oczy trzęsąc głową swoim zwyczajem. Było już po ewangelii, teraz zaś, nie wiem już zresztą z jakiego powodu, ksiądz Czyżyk mówił o średniowiecznej herezji katarów i tłumaczył swoim parafianom, w jaki jedynie zgodny z zasadami Kościoła sposób mają zapatrywać się tak na ową herezję, jak i na bullę *Ex stercore* przeciw niej wymierzoną. Potem bardzo wymownie i z wielkim przejęciem się ostrzegał swoje owieczki, aby jako prostaczkowie, ubodzy niby owi ptakowie niebiescy, a zatem mili Bogu, nie słuchali rozmaitych fałszywych mędrców i w ogóle ludzi zaślepionych pychą szatańską, którzy kąkol sięją zamiast pszenicy, a lży i grzech zbierać będą. Tu mimochodem wspomniał o Condillacu, Voltairze, Rousseau i Ochorowiczu, nie czyniąc zresztą między tymi mężami różnicy, a w końcu przyszedł do szczegółowszego opisywania rozmaitych nieprzyjemności, na jakie potępieńcy będą na tamtym świecie narażeni. A w Rzepową od razu jakby inny duch wstąpił, bo choć i nie rozumiała tego, co ksiądz Czyżyk mówił, ale pomyślała sobie, że „juści musi pięknie mówić, kiej tak krzyczy, że aż cały w potach stanął, a ludziska to tak wzdychają, jakby już ostatnią parę mieli puścić”. Potem kazanie się skończyło, a zaczęła się suma. Oj! modliła się też Rzepowa, nieboga, modliła, jak nigdy w życiu, ale też czuła, że jej coraz lżej i lżej na sercu.

Aż wreszcie nadeszła uroczysta chwila. Bielusieńki jak gołąb dziekan wydobył Przenajświętszy Sakrament z cyborium, a potem odwrócił się do ludzi i, trzymając w drżących rękach monstrancję jak słońce tuż koło twarzy, stał tak przez czas jakiś z przymkniętymi oczyma i schyloną głową, jakby sam czując wielką świętość chwili i jakby zbierając się z duchem, aż wreszcie zaintonował: „Przed tak wielkim Sakramentem!”

A ludzie we sto głosów huknęli mu zaraz w odpowiedź:

Upadajmy na twarzy,
Niech ustąpią z testamentem

Nowym prawom już starzy;
Wiara będzie suplementem.
Co się zmysłem nie zdarzy...

Pieśń brzmiała, aż się szyby zatrzęsły; zahuczał organ, zabrzęczały dzwonki i dzwony; przed kościołem grzmiał bęben, z trybularzy wzniosły się dymy błękitne, a słońce weszło przez okno i oświeciło jakoby tęczą owe zwoje. Wśród tego gwaru, dymów, promieni, głosów błyskał tylko czasem wysoko Przenajświętszy Sakrament, który ksiądz to zniżał, to podnosił, i wydawał się wówczas ów biały staruszek z monstrancją jak jakieś zjawisko niebieskie, na wpół mgłą dymów przesłonione a promienne, od którego biła błogość i otucha, zlewając się na wszystkie serca i na wszystkie dusze pobożne. Ono ta błogość i uspokojenie wielkie wzięły pod skrzydła boże i strapioną duszę Rzepowej: „Jezusie w Przenajświętszym Sakramencie utajony! Jezusie! — wołała nieszczęśliwa kobieta — nie opuszczajże mnie, niebogę!” I z oczu płynęły jej łzy, ale już nie te łzy, którymi płakała u wójta, ale dobre jakieś, choć duże jak kałakuckie perły, ano słodkie przy tym i spokojne. Padła Rzepowa przed majestatem Bożym twarzą na podłogę, a potem to już i sama nie wiedziała, co się z nią stało. Zdawało się jej, że anieli niebiescy podjęli ją z ziemi i jako liść marny zanieśli aż do nieba, w wiekiustą szczęśliwość, gdzie nie było ani pana Zolzikiewicza, ani wójta, ani spisów wojskowych, tylko jakby jedna zorza, a w owej zorzy tron boski, koło tronu zasię światłość taka, że trzeba było oczy mrużyć, i całe chmary aniołków niby ptaszków z białymi skrzydełkami.

Rzepowa leżała tak długo. Gdy się podniosła, już było po mszy; kościół opustoszał; dymy poszły pod sufit; ostatni ludzie wychodzili przeze drzwi, a na ołtarzu dziad gasił świece, więc Rzepowa się podniosła i poszła na parafię rozmówić się z księdzem wikarym.

Ksiądz Czyżyk jadł właśnie obiad, ale wyszedł zaraz, jak mu tylko dali znać, że jakaś zapłakana kobieta chce się z nim widzieć. Był to młody jeszcze ksiądz, z twarzą bladą, ale pogodną; czoło miał białe, wysokie i łagodny uśmiech na twarzy.

— A czego to chcecie, moja kobieto? — spytał cichym, ale dźwięcznym głosem.

Rzepowa podjęła go pod nogi i nuż mu opowiadać całą sprawę i popłakiwać przy tym, i całować go po rękę, aż wreszcie podnosząc nań pokornie swoje czarne oczy rzecze:

— Oj! Porady, dobrodzieju, porady przysłałam od was szukać.

— I nie omyliliście się, moja kobieto — odpowiedział łagodnie ksiądz Czyżyk. — Ale ja mam tylko jedną poradę. Oto ofiarujcie Bogu wszystkie swoje strapienia. Bóg doświadcza swoich wiernych: doświadcza ich nawet i srodze jako Hioba, któremu psy własne lizały rany bolące, lub jako Azariasza, na którego zesłał ślepotę. Ale Bóg wie, co robi, i wiernych swoich potrafi za to wynagrodzić. Nieszczęście, jakie przytrafiło się waszemu mężowi, uważajcie jako karę Bożą za ciężki jego grzech pijaństwa i dziękujcie Bogu, że karząc go za życia, może odpuści mu po śmierci.

Rzepowa popatrzyła na księdza swymi czarnymi oczyma, potem podjęła go pod nogi i odeszła cicho, nie rzekłszy ani słowa.

Ale przez drogę czuła, jakby ją coś dusiło za gardło.

Chciała płakać i nie mogła.

ROZDZIAŁ SIÓDMY. IMOGENA

Po południu, koło godziny piątej, na głównej drodze między chałupami błysnęła w dali błękitna parasolka, żółty ryżowy kapelusik z błękitnymi wstążkami i migdałowa sukienka garniowana także błękitno: to panna Jadwiga szła na spacer po obiedzie, obok niej zaś kuzyn pan Wiktor.

Panna Jadwiga była to ładna panna, co się nazywa: włosy miała czarne, oczy niebieskie, pleć jak mleko, a przy tym ubranie dziwnie starowne, schludne i wykwinne, że aż promienie były od niego, dodawało jej jeszcze uroku. Jej śliczna dziewicza kibić rysowała się wdzięcznie, jakoby płynąc w powietrzu. Jedną ręką podtrzymywała panna Jadwiga parasolkę, a drugą zaś suknię, spod której widać było brzeżek karbowany białej spódniczki i śliczne małe nóżki obute w buciki węgierskie.

Pan Wiktor, który koło niej szedł, choć miał ogromną, kręconą, jasnej barwy czuprynę i broda tylko co mu się puszczała, wyglądał także jak malowanie.

Biło od tej pary zdrowiem, młodością, wesołością, szczęściem; a przy tym znać było po obojgu owo życie wyższe, świąteczne: życie skrzydlatych polotów nie tylko w świat zewnętrzny, ale w świat myśli, szerszych pragnień, równie szerokich idei, a czasem w złote i promienne szlaki marzeń.

Wśród tych chałup, obok dzieci wiejskich, chłopów i całego prostackiego otoczenia wyglądali oboje jakby jakieś istoty z innej planety. Aż miło było pomyśleć, że nie istniał żaden związek między tą pyszną, rozwiniętą i poetyczną parą a prozaicznym, pełnym szarej rzeczywistości i na wpół zwierzęcym bytem wioski. Nie istniał żaden związek, przynajmniej duchowy. Szli oto oboje obok siebie i rozmawiali o poezji, literaturze, jako zwyczajnie dworny kawaler i dworna panna. Ci ludzie w parcianej odzieży, ci chłopci i te baby nie rozumieliby nawet ich słów i języka. Aż miło pomyśleć! Przynajmniej mi to, acaństwo dobrodziejstwo!

W rozmowie tej pysznej pary nie było nic, czego by się nie słyszało ze sto razy. Z książki na książkę przeskakiwali jak motyl z kwiatu na kwiat. Ale nie wtedy taka rozmowa wydaje się czczą i pospolitą, kiedy się rozmawia z lubą duszą duszyczką, kiedy rozmowa jest tylko osnową, na której ona duszka złote kwiaty własnych uczuć i myśli dzierzga i kiedy od czasu do czasu rozchyła swe wnętrze jakoby spłonione wnętrze białej róży. A przy tym taka rozmowa wzlatuje, bądź co bądź, jak ptak do góry, w sfery błękitne, czepia się świata duchowego i pnie się w górę jakoby wijąca roślinka po tyczce. Tam w karczmie ludziska pili i w prostackich słowach o prostackich prawili rzeczach, a owa para płynęła w inną krainę i na okręcie, który miał, jak mówi piosenka Gounoda:

Maszty z kości słoniowej,
Flagą jedwab różowy
I szczerozłoty ster.

Obok tego jeszcze należy dodać, że panna Jadwiga zawracała dla wprawy głowę kuzynkowi. W tych warunkach najczęściej mówi się o poezji.

— Czytała pani ostatnie wydanie Elego? — pytał kawaler.

— Wie pan, panie Wiktorze — odrzekła panna Jadwiga — że ja przepadam za Elim. Gdy go czytam, zdaje mi się, że słyszę jakąś muzykę i mimo woli stosuję do siebie ów wiersz Ujejskiego:

Leżę na obłoku,
Roztopiony w ciszę;
Łzę mam senną w oku,
Oddechu nie słyszę.
Fiołkowej woni
Otocza mnie morze;
Dłoń złożywszy w dłoni,
Lecę... płynę...

— Ach! — przerwała nagle — gdybym go znała, jestem pewna, że byłabym w nim zakochana. Zrozumielibyśmy się z pewnością.

— Na szczęście jest żonaty! — odparł sucho pan Wiktor.

Panna Jadwiga schyliła trochę główkę, ścisnęła półuśmiechem usta, aż jej się dolki ukazały na policzkach, i spoglądając z ukosa na pana Wiktora spytała:

— Dlaczego pan mówi: na szczęście?

— Na szczęście dla tych wszystkich, dla których by życie nie miało wówczas żadnego powabu.

To mówiąc pan Wiktor był bardzo tragiczny.

— O! Pan za dużo mi przypisuje.

Pan Wiktor przeszedł na lirykę.

— Pani jesteś aniołem...

— No... to dobrze... to mówmy o czym innym. Więc pan nie lubi Elego?

— Zacząłem go nienawidzić przed chwilą.

— Brzydki grymaśnik z pana. Doprawdy warto panu dać klapsa. Proszę się rozchmurzyć i wymienić mi swego ulubionego poetę.

— Sowiński... — mruknął ponuro pan Wiktor.

— A ja się go po prostu boję. Ironia, krew, pożar... dzikie wybuchy, br!

— Takie rzeczy nie przestraszają mnie wcale.

To rzekłszy pan Wiktor spojrział tak walecznie przed siebie, że aż pies, który wybiegł z jednej chałupy, schowawszy ogon pod brzuch cofnął się, przerażony.

Tymczasem doszli do czworaków, w oknie których mignęły im: kozia bródka, zadarty nos i jasnozielony krawat, a potem zatrzymali się przed ładnym domkiem pokrytym dzikim winem i patrzącym tylnymi oknami na staw.

— Widzi pan, jaki to ładny domek: to jest jedyne poetyczne miejsce w Baraniej Głowie.

— Cóż to za dom?

— To była dawniej ochrona. Tu dzieci wiejskie uczyły się czytać, gdy rodzice byli w polu. Papa naumyślnie kazał wybudować ten dom.

— A teraz cóż w nim jest?

— Teraz tam stoją beczki z okowitą. Rozumie pan? Czasy się zmieniły. Teraz sąsiadujemy tylko z naszymi chłopami, starając się nie mieć żadnych z nimi stosunków.

— Hm! — mruknął pan Wiktor — a jednak...

Ale nie dokończył myśli, bo doszli do wielkiej kałuży, w której leżało kilka świń, „słusznie tak nazwanych dla swego niechlujstwa”. Żeby tę kałużę obejść, potrzeba było przejść koło chaty Rzepowej; poszli więc tamtędy.

Przed wrotami siedziała na pieńku Rzepowa z łokciami opartymi na kolanach i z twarzą podpartą na ręku. Twarz ta była blada i jakoby skamieniała, oczy czerwone, wejrzenie mętne i utkwione w dal bez myśli.

Rzepowa nie słyszała nawet przechodzących, ale panienska spostrzegła ją zaraz i rzekła:

— Dobry wieczór, Rzepowa!

Rzepowa wstała i zbliżywszy się podjęła pod nogi pannę Jadwigę i pana Wiktora, przy czym rozplakała się cicho.

— Co to wam, Rzepowa? — spytała panna.

— Oj, jagódka moja złota, o, zorzo moja rumiana! Może mi Bóg ciebie zesłał! Przyczyniłeś ty się za mną, pociecho nasza!

Tu Rzepowa zaczęła opowiadać rzecz całą przeplatając opowiadanie całowaniem paniutki po ręku, a raczej po rękawczkach, które przy tym łzami plamiła; panienska zmieszala się bardzo: widać było wyraźnie kłopot na jej ładnej, poważnej twarzyczce i sama nie wiedziała, co począć, na koniec jednak rzekła z wahaniem:

— Cóż ja wam poradzę, moja Rzepowo! *Enfin!* Doprawdy, mnie was żal bardzo, ale my teraz nie mamy żadnej władzy... i nie mieszamy się do niczego... Doprawdy... cóż ja mogę wam poradzić. Idźcie zresztą do papy... może papa... No, bądźcie zdrowi, moja dobra Rzepowo...

To rzekłszy panna Jadwiga podniosła jeszcze wyżej migdałową sukienkę, aż nad trzewikiem błyszcziała biała w błękitne paski pończoszka, potem zaś panna Jadwiga poszła dalej z panem Wiktorem.

— Niech cię Bóg błogosławi, kwiateczku najpiękniejszy! — zawołała za nią Rzepowa.

Panna Jadwiga posmutniała jednak, a panu Wiktorowi zdawało się nawet, że widzi łezkę w jej oku: więc żeby odgonić smutek, zagadał o Kraszewskim i o innych, mniejszych już rybach literackiego morza; jakoż w rozmowie, która ożywiła się stopniowo, zapomnieli wkrótce oboje o tej „niemiłej sprawie”.

— Do dworu? — mówiła sobie tymczasem Rzepowa. — A toć mnie tam najpierw trzeba było iść, jeszcze przedtem niż do wójta. A gdzież się udać, skąd ratunku wyglądać, jeśli nie ze dworu? Oj! głupia też ze mnie kobieta!

ROZDZIAŁ ÓSMY. IMOGENA

We dworze był ganek obrośnięty winem, z widokiem na dziedziniec i na topolową drogę. W tym ganku państwo pijali latem kawę po obiedzie. Siedzieli też tam i teraz, a z nimi

razem ksiądz dziekan Ulanowski, ksiądz Czyżyk i rewizor gorzelany Stołbicki. Pan Skorabiewski, człowiek dość otyły i dość czerwony, z wielkimi wąsami, siedział na krześle pałac fajkę; pani Skorabiewska nalewała herbatę, rewizor zaś, który był nihilista, podrywał ze starego dziekana.

— Ot! Niech no nam ksiądz dobrodziej opowie o tej sławnej bitwie — mówił rewizor.

A dziekan przyłożył rękę do ucha i pyta:

— Hę?

— O bitwie! — powtórzył rewizor głośnie.

— A? O bitwie? — rzekł dziekan i jakby zamyśliwszy się, począł coś szeptać do siebie i patrzeć w górę, niby sobie coś przypominając; rewizor nastawił już minę do śmiechu, wszyscy czekali na opowiadanie, choć je już ze sto razy słyszeli, bo zawsze na nie wyciągali staruszka.

— Co? — zaczął ksiądz dziekan — ja jeszcze wtedy byłem wikarym, a proboszczem był ksiądz Gładysz... dobrze mówię: ksiądz Gładysz. To on, co zakrystię przebudował... A światłość wiekuista!... Więc zaraz po sumie powiadam: Księżo proboszczu? A on pyta: Co? Mnie się zdaje, że to coś z tego będzie, powiadam. A on mówi: I mnie się zdaje, że to coś z tego będzie. Patrzymy: aż tu zza wiatraka wyjeżdżają to na koniach, to piechotą, a tam chorągwie, a armaty. Tak ja zaraz pomyślałem sobie: O! Aż tu i z drugiej strony, owce? myślę, a to nie owce, tylko kawaleria. Jak tylko zobaczyli, tak: stój! a tamci także: stój! A tu z lasu jak nie wypadnie kawaleria, dopiero ci w prawo, tamci w lewo, ci w lewo, tamci za nimi. Dopiero widzą: trudno! Więc także na nich. Jak nie zaczną strzelać, a za górą znowu coś błysnęło. Czy proboszcz widzi? powiadam, a proboszcz mówi: widzę, a tam już walą z armat, z karabinów; tamci do rzeki, ci nie puszczają, ten tego, ten owego!... to ci przez jakiś czas górą, to znowu tamci. Huku! dymu! a potem na bagnety! Ale zaraz mi się zdało, że ci już słabną. Księżo proboszczu, mówię, tamci górą! a on mówi: I mnie się zdaje, że górą. Ledwie domówił, ci w nogi! tamci za nimi; dopiero ich topić, zabijać, brać w niewolę, i myślę, skończy się... ale gdzie tam! tego... powiadam, właśnie, no!

Tu staruszek machnął ręką i osadziwszy się głęboko w fotelu, wpadł jakby w zadumę, tylko głowa trzęsła mu się mocniej jak zwykle, a oczy bardziej jeszcze na wierzch wylaziły.

Rewizor aż się zapłakał od śmiechu.

— Księżo dobrodziej! — zapytał — któż się z kim bił, gdzie i kiedy?

A kanonik rękę do ucha i mówi:

— Hę?

— Ot! prosto nie mogę od śmiechu — rzekł do pana Skorabiewskiego rewizor.

— A może cygarko?

— A może kawy?

— Nie — nie mogę od śmiechu.

Śmieli się i państwo Skorabiewscy przez grzeczność dla rewizora, choć tego opowiadania musieli słuchać, jak zapisał, co niedziela; wesołość była ogólna, gdy nagle przerwał ją cichy, lękliwy głos z zewnątrz ganku, który rzekł:

— Niech będzie pochwalony!

Pan Skorabiewski zaraz podniósł się, wyszedł przed ganek i spytał:

— A kto tam?

— To ja, Rzepowa.

— Czego?

Rzepowa schyliła się, o ile jej na to dzieciak pozwalał, i podjęła go pod nogi.

— Po ratunek, jaśnie dziedzicu, i po zmiłowanie.

— Moja Rzepowa, dajcie mi też choć w niedzielę pokój! — przerwał pan Skorabiewski z taką dobrą wiarą, jakoby Rzepowa nachodziła go w każdy dzień powszedni. — Widzicie przecie, że teraz mam gości. Toć ich dla was nie zostawię.

— Ja zaczekam...

— No to czekajcie. Ja się przecie na dwoje nie rozerwę.

To rzekłszy pan Skorabiewski wsunął na powrót swe obszary w ganek, a Rzepowa cofnęła się aż do krutek ogrodowych i stanęła przy nich pokornie. Ale przyszło jej czekać dość długo. Państwo się tam zabawiali rozmową, a uszu jej dolatywały wesołe śmiechy, które dziwnie brały ją za serce, bo nie do śmiechu jej było, niebodze. Potem wrócili pan

Wiktor z panną Jadwigą, a następnie poszli wszyscy na pokoje. Powoli słońce się miało ku zachodowi. Na ganek wyszedł lokajczuk Jasiek, którego pan Skorabiewski nazywał zawsze: „jeden z drugim”, i zaczął nakrywać do herbaty. Zmienił obrus, postawił filiżanki i począł wpuszczać w nie z brzękiem łyżeczki. Rzepowa czekała i czekała. Przychodziło jej do głowy, czy by nie wrócić do chałupy, a przyjść później, ale bała się, że potem będzie za późno, przysiadła więc tylko na trawie pod płotem i dała dziecku piersi. Dziecko nassało się i usnęło, ale niezdrowym snem, bo już od rana było jakieś słabe. Rzepowa także czuła, że to gorąco, to zimno przebiega ją od stóp do głowy. Czasem także brały ją cięgoty, ale nie zważała na to, tylko czekała cierpliwie. Powoli zmroczyło się i księżyc wszedł na sklepienie niebieskie. Do herbaty już nastawione; w ganku paliły się lampy, ale państwo nie przychodzili, bo panna grała na fortepianie. Rzepowa zaczęła sobie mówić pod sztachetami „Anioł Pański”, a potem rozmyślała, jak też to ją poratuje pan Skorabiewski. Dobrze ona nie wiedziała jak, ale rozumiała, że pan, jako pan, to i z komisarzem ma znajomość, i z naczelnikiem; byle tylko słowo rzekł, jak wszystko się stało, a to i da Bóg, że się złe odmieni. A przy tym myślała, że niechby się Zołzikiewicz albo wójt przeciwili, to pan wiedziałby, gdzie pójść po sprawiedliwość. „Panosko zawdyk dobry był i dla ludzi miłosierny — myślała sobie — toć mnie tak nie ostawi”. I nie myliła się, bo pan Skorabiewski istotnie był człowiek ludzki. Dalej przypomniawszy sobie, że i na Rzepę zawsze był łaskaw; dalej, że jej nieboszczka matka wykarmiła pannę Jadwigę, więc i otucha wstąpiła w jej serce. „Niech se ta ludzkie mówią, co chcą — mówiła sama do siebie — a jak człeka bieda przycisnie, to nikiej, ino do dworu”. To, że czekała już parę godzin, wydało jej się tak naturalne, że nawet nie zastanawiała się nad tym. Tymczasem państwo wrócili na ganek. Rzepowa widziała przez liście winne, jak panienka nalewała ze srebrnego imbryka „arbatę”, czyli, jak mawiała nieboszczka matka Rzepowej, „taką wodę pachnącą, co ci od niej w calusieńkiej gębie puszy”. Potem pili ją wszyscy, rozmawiali i śmieli się wesoło. Dopiero wtedy przyszło Rzepowej do głowy, że w pańskim stanie to zawsze jest więcej szczęścia niż w prostym, i sama nie wiedziała, czemu łzy znowu popłynęły jej po twarzy. Ale te łzy ustąpiły wkrótce innemu wrażeniu, bo oto na ganek „jeden z drugim” wniósł dymiące półmiski; wtedy przypomniawszy sobie Rzepowa, że jest głodna, bo obiadu nie mogła wziąć w usta, a rano tylko się trochę mleka napiła.

„Oj, żeby mi też choć kosteczki dali ogryźć!” — pomyślała sobie — i wiedziała, że daliby z pewnością nie tylko kosteczki, ale nie śmiała prosić, by się nie naprzykrzać i w oczy nie leżać przy gościach, za co by się może pan i rozgniewał.

Nareszcie skończyła się i kolacja; rewizor odjechał zaraz, a w pół godziny potem i obaj księża siadali już na dworską brykę. Rzepowa widziała, jak pan podsadzał dziekana, więc osądziła, że chwila nadeszła, i zbliżyła się ku gankowi.

Bryka ruszyła; pan krzyknął na drogę furmanowi: „A przewróć tam na grobli, to ja ci przewrócę!”, potem spojrzał na niebo chcąc widać wymiarkować, jaka będzie jutro pogoda, nareszcie dojrzał w ciemności bielejącą koszulę Rzepowej.

— A kto tam?

— Rzepowa.

— A, to wy! Gadajcie prędzej, czego chcecie, bo późno.

Rzepowa powtórzyła mu znowu wszystko; pan słuchał i tylko pykał z fajki przez cały czas, a potem rzekł:

— Moi kochani! Ja pomógłbym wam chętnie, gdybym mógł, ale dałem sobie słowo, że się w sprawy gminne nie będę wtrącał. Dawniej było co innego... panie dobrodzieju!... a dziś ani wam do mnie, ani mnie do was nic. Dziś wy moi sąsiedzi, i basta!

— Dyc ja wiem, jasnie dziedzicu — rzekła drżącym głosem Rzepowa — ale pomyślałam sobie, że może jasnie dziedzic ulituje się nade mną...

Głos jej urwał się nagle.

— Wszystko to bardzo dobrze — rzekł pan Skorabiewski — ale co ja mogę zrobić? Ja swojego słowa dla was łamać nie mogę, a do naczelnika za wami nie będę jeździł, bo on już i tak powiada, że nachodzę go ciągle własnymi sprawami... Cóżem chciał mówić? Powtarzam, że ja teraz do was, a wy do mnie nie macie nic. Wy macie swoją gminę, a jak gmina wam nie poradzi, to do naczelnika znacie drogę tak jak i ja. Cóżem chciał mówić? Dziś wy tam więcej możecie ode mnie. To nie dawne czasy, moja Rzepowa. No! Idźcie z Bogiem.

— Panie Boże zapłać — ozwała się głucho kobieta podjąwszy dziedzica pod nogi.

ROZDZIAŁ DZIEWIĄTY. IMOGENA

Rzepa po wyjściu z chlewka poszedł prosto nie do chałupy, ale do karczmy. Wiadomo, że chłop w utrapieniu pije. Z karczmy, powodowany też samą myślą, co i Rzepowa, że w nieszczęściu najlepiej iść do dworu, poszedł do pana Skorabiewskiego, i głupstwo zrobił.

Człowiek nietrzeźwy nie wie, co gada. Otóż Rzepa był natarczywy, a gdy usłyszał toż samo co Rzepowa o zasadzie nieinterwencji, nie tylko że wskutek przyrodzonej prostakom tępości umysłowej tej wysoce dyplomatycznej zasady nie pojął, ale z gburowatością, właściwą również prostakom, ozwał się, że „wszystko panowie tera ino o sobie myślą”, i został wyrzucony za drzwi.

Gdy przyszedł nazad do chałupy, sam powiedział żonie:

— Byłem we dworze.

— I nie wskórałeś nic.

A on pięścią o stół.

— Podpalić by ich, psiowiary.

— Cichajże, zbereźniku. Co ci tam pan powiedział?

— Odesłał mnie do naczelnika. Żeby jego...

— Ono to chyba trzeba iść do Osłowic.

— A to i pójde! Albo to nad panem nie ma już nikogo na świecie

Dziwna rzecz! Rzepa od owej bytności we dworze nawet o pisarzu i wójcie nie odzywał się z taką namiętnością jak o panu. Wójt i pisarz srodze mu zapiekli, ale on sobie rozumował, że oni od tego i są — dwór co innego — dwór mógł go poratować, a nie chciał.

— Pojadę do Osłowic — mówił zaraz wtedy — i pokażę mu, że się bez niego obędzie.

— Nie pojedziesz ty, nieboraku mój serdeczny, tylko ja sama. Ty, ino się napijesz, to zara hardo się stawisz, i tylko nieszczęścia przymnożysz.

Rzepa z początku było nie chciał, ale zaraz po południu poszedł do karczmy zalać robaka, nazajutrz dzień toż samo; kobieta więc, nie pytając już o nic, zdała wszystko na wolę Bożą i we środę, wzięwszy dziecko, wyszła do Osłowic.

Koń był przy gospodarstwie potrzebny, więc poszła piechotą i świtaniem, bo do Osłowic było trzy opętane mile. Myślała, że może i spotka dobrych ludzi jadących, którzy pozwolą się jej przysiąść bodaj na brzeżku fury, ale nie spotkała nikogo. O dziewiątej rano, siadłszy zmęczona na skraju lasu, zjadła kromkę chleba i parę jaj, które miała ze sobą w kobiałce, potem poszła dalej. Słońce zaczynało przypiekać, więc spotkawszy pachciarza Herszka z Wrzeciędzy, który wioził w drabkach gęsi do miasta, zaczęła prosić, żeby ją zabrał na furę.

— Z Bogiem, moja Rzepowa — odpowiedział Herszek — ale tu taki piach, że koń ledwie mnie samego ciągnie. Dacie złoty, to was wezmę.

Dopiero przypomniała sobie, że miała tylko jeden czeski zawiązany w chuście. Chciała Żydowi dać go zaraz, ale on odpowiedział:

— Czeski? I czeskiego na ziemi nie znajdzie, i to pieniądz! cy! cy!

To rzekłszy zaciął konia i pojechał dalej. Na świecie stawało się coraz goręcej i pot lał się strumieniem z Rzepowej, ale zbierała nogi, jak mogła, i w godzinę później wchodziła już do Osłowic.

Kto zna jak należy geografę, ten wie, że wjeżdżając od strony Baraniej Głowy do Osłowic trzeba przejeżdżać koło kościoła poreformackiego, w którym dawniej była Matka Boska cudowna, a około którego jeszcze dziś co niedziela siedzi cała ulica dziadów wrzeszczących wniebogłose. Teraz, że to był dzień powszedni, siedział więc pod parkanem tylko jeden dziad, ale za to wyciągał spod lachmanów gołą nogę bez palców i trzymając w rękę wierzch pudełka od szuwaksu śpiewał:

Święta, niebieska
Pani anielska....

Ujrawszy kogo przechodzącego przestawał śpiewać, ale wysuwając jeszcze dalej nogę poczynał krzyżeć, jakby go kto ze skóry obdzierał:

— Miłosierne osoby! Biedna kaleka litości błaga! Niech wam Bóg miłosierny da wszystko dobre na ziemi!

Ujrawszy go Rzepowa odwiązała z chusty swego czeskiego i zbliżywszy się rzekła:

— Mata pięć groszy?

Chciała mu dać tylko grosz, ale dziad, poczuwszy szóstaka w palcach nuż jej wymyślać:

— Żałujeta czeskiego Panu Bogu, pożałuje i wam Pan Bóg wspomnienia. Idźta do paralusa, pókim dobry!

Więc Rzepowa sobie rzekła: „Niech to będzie na chwałę Bożą” i poszła dalej.

Dopiero jak przyszła na rynek, tak się złąkla. Łatwo było przyjść do Osłowic, ale zablądzić w Osłowicach jeszcze łatwiej. A toć to miasto nie żarty! Przyjdiesz do jakiej nieznajomej wsi, a już musisz wypytywać się, gdzie kto mieszka, a cóż dopiero w takich Osłowicach. „Ja się tu zgubię jak w morzu” — pomyślała Rzepowa. Nie było innej rady, jak wypytywać się ludzi. O komisarza wypytała się łatwo, ale poszedłszy do jego domu dowiedziała się, że wyjechał do guberni. O naczelniku powiedzieli jej, że go trzeba szukać w powiecie. Ba! a powiat gdzie? Oj! głupia, głupia kobieta. Przecie w Osłowicach, nie gdzie indziej.

Szukała tedy w Osłowicach powiatu, szukała; nareszcie patrzy: stoi jakiś pomalowany zielono pałac z orłem nad bramą, wielki aż strach, a przed nim co niemiara bryk i wozów, i bid żydowskich! Rzepowej zdawało się, że to jaki odpust. „A kaj tu je powiat?” — pyta Rzepowa jakiegoś we fraku, podjąwszy go pod nogi. „Toć stoisz, kobieto, przed nim”. Zebrała się z duchem i weszła do pałacu. Patrzy znowu: a tam pełno korytarzy, na lewo drzwi, na prawo drzwi, dalej jeszcze i drzwi, i drzwi, a na każdych jakieś litery. Przeżegnała się Rzepowa i otworzywszy z nieśmiałością i po cichutku pierwsze, znalazła się w jakiejś wielkiej izbie przedzielonej stallami jak kościół.

Za stallami siedział jakiś we fraku ze złocistymi guzikami i z piórem za uchem, a przed stallami różnych panów co niemiara. Panowie płacili i płacili, a ten we fraku palił papierosa i pisał kwitki, które panom oddawał. Kto wziął kwitek, ten wychodził. Dopiero Rzepowa pomyślała, że tu trzeba płacić, i pożałowała swojego czeskiego. Toteż z nieśmiałością wielką przystąpiła do kratki.

Ale tam nikt nawet na nią nie spojrział. Stoi Rzepowa, stoi; upływa z godzina; jedni wchodzi, drudzy wychodzą, zegar za kratką tyka, a ona stoi. Na koniec przeredziło się jakoś, a wreszcie i nikogo nie stało. Urzędnik siadł za stołem i zaczął pisać. Wtedy Rzepowa ośmieliła się odezwać:

— Pochwalony Jezus Chrystus!...

— Czego tam?

— Jaśnie naczelniku!...

— Tu jest kasa.

— Jaśnie naczelniku!...

— Tu jest kasa, mówię wam.

— A kaj naczelnik?

Urzędnik pokazał drugim końcem pióra na drzwi:

— Tam.

Rzepowa wyszła znowu na korytarz. Tam? ba! ale gdzie? Drzwi wszędzie co niemiara, w które tu pójść? Nareszcie widzi, że między rozmaitymi ludźmi, którzy chodzą to w tę, to w tamtą stronę, stoi chłop z biczem w ręku, więc zaraz do niego.

— Ojcie?

— A czego chceta?

— Skądęście?

— Z Wieprzkowisk, albo co?

— Kaj tu naczelnik?

— Czy ja wiem.

Potem spytała jeszcze jakiegoś ze złotymi guzikami, ale nie we fraku i z dziurami na łokciach. Ten nie chciał nawet jej słuchać, odpowiedział tylko:

— Nie mam czasu.

Rzepowa znów weszła w pierwsze lepsze drzwi, nie wiedziała biedaczka, że na tych drzwiach stał napis: „Osobom nie należącym do składu urzędu wchodzić nie wolno”. Ona do składu urzędu nie należała; napisu, jak się rzekło, nie widziała, a choćby i widziała, to nie potrafiłaby go zrozumieć.

Tylko co otworzyła drzwi, patrzy: izba pusta, pod oknem ławka, na ławce siedzi jakiś i drzemie. Dalej drzwi do innego pokoju, w których widać chodzących panów we frakach i w mundurach.

Rzepowa zbliżyła się do tego, który drzemał na ławie: miała do niego trochę śmiałości, bo człowiek wyglądał prosty i buty miał na wyciągniętych przed siebie nogach dziurawe.

Trąciła go w ramię.

On się zerwał, spojrzął na nią i jak krzyknie:

— Nie wolno! Nie lzia! Poszli won!

Kobiecina w nogi, a on jej jeszcze kuksa dał i drzwiami za nią trzasnął.

Znalazła się trzeci raz na tym samym korytarzu.

Siadła koło jakichś drzwi i z cierpliwością prawdziwie chłopską postanowiła siedzieć przy nich choćby do skończenia świata. „A przecie kto może i zapyta!” — myślała sobie. Nie płakała, tylko tarła oczy, bo ją śwędziły, i czuła, że cały korytarz ze wszystkimi drzwiami zaczyna się z nią kręcić.

A tu ludzie koło niej, to w prawo, to w lewo; drzwiami trzask! trzask! a rozmawiają ze sobą, słyhać haru! haru! jak na jarmarku.

Wreszcie jednak Bóg zmiłował się nad nią. Z tych drzwi, przy których siedziała, wyszedł stateczny szlachcic, którego czasem w kościele we Wrzeczędzy widywała; potknął się o nią i pyta:

— Wy tu czego, kobieto, siedzicie? Co?

— Do naczelnika...

— Tu jest komornik, nie naczelnik.

Szlachcic ukazał drzwi w głębi korytarza.

— Tam, gdzie ta zielona tabliczka, co? Ale nie chodźcie do niego teraz, bo zajęty, co? Zaczekajcie tu, on musi tędy przechodzić.

I szlachcic poszedł dalej, a Rzepowa spojrziała za nim takim spojrzeniem, jakby za swoim aniołem stróżem. Pomyślała: „A zawdyk pan się najprędzej nad człowiekiem zlituje!”

Przyszło jej jednak jeszcze dość długo czekać, aż nareszcie drzwi z zieloną tabliczką otworzyły się z trzaskiem; wyszedł z nich niemłody już wojskowy i szedł przez korytarz z wielkim hałasem, śpiesząc się bardzo. Oj, zaraz można było poznać, że to naczelnik, bo za nim w dyrdy leciało kilku panów zabiegając mu to z prawej, to z lewej strony, a do uszu Rzepowej doszły wykrzyki: „Panie naczelniku dobrodzieju!”, „Słóweczko, panie naczelniku!”, „Łaskawy naczelniku!” Ale on nie słuchał i szedł naprzód. Rzepowej aż zaraz pociemniało w oczach na jego widok. „Dziej się wola Boża!”, przemknęło jej w głowie, więc wypadła na środek korytarza i klękawszy z podniesionymi rękoma, zagroziła mu drogę.

Spojrzął, stanął; cała procesja zatrzymała się przed nią.

— Toż co jest? — spytał.

— Przenośnięty naczelnik...

I nie mogła dalej: załękła się tak, że głos urwał się jej w gardle; język kołem stanął.

— Czego?

— O! o! ady! ady! wedle... poboru.

— Cóż to? Was do wojska chcą? A? — spytał naczelnik.

Szlachta zaraz chórem w śmiech, by podtrzymać dobry humor naczelnika, ale on zaraz do tych swoich dworzan:

— Proszę! Proszę cicho!

A potem niecierpliwie do Rzepowej:

— Prędkiej! Czego? Bo nie mam czasu.

Ale Rzepowa do reszty straciła głowę od śmiechu panów, więc poczęła tylko bełkotać bez związku: „Burak! Rzepa! Rzepa! Burak, o!”

— Musi być pijana! — rzekł jeden z panów.

— Zostawiła język w chałupie — dodał drugi.

— Czegóż chcecie? — powtórzył jeszcze niecierpliwiej naczelnik. — Pijaniście czy co?

— O Jezusie! Maryja! — wykrzyknęła Rzepowa czując, że ostatnia deska zbawienia wysuwa się jej z rąk. — Przenoświętsy nancel...

Ale on był istotnie bardzo zajęty, bo to i spisy się już zaczęły, i interesów było mnóstwo, a przy tym jeszcze miał być i bał w Osłowicach, który on z obowiązku urządzał — zresztą z kobietą dogadać się nie mógł, więc tylko kiwnął ręką i zawołał:

— Ot! wódka! wódka! A kobieta młoda i ładna.

Potem do Rzepowej takim głosem, że mało się pod ziemię nie schowała:

— Jak wytrzeźwiejesz, to sprawę przedstawić gminie, a gmina niech przedstawi mnie.

Trzasnąwszy jakby z bata ostatnim wyrazem, poszedł spiesźnie dalej, a panowie za nim powtarzając: „Panie naczelniku dobrodzieju”, „Słoweczko, panie naczelniku”, „Łaskawy naczelniku!”

Korytarze opustoszały; zrobiło się na nich cicho, tylko dzieciak Rzepowej począł wrzeszczeć. Więc rozbudziła się jakoby ze snu, wstała, podniosła dziecko i zaczęła mu pośpiewywać jakimś nie swoim głosem:

— Aa! aa! aa!

Potem wyszła z gmachu. Na dworze niebo zawlokło się chmurami: na krańcach widnokregu grzmiało.

W powietrzu było parno.

Co się działo w duszy Rzepowej, gdy przechodziła znowu koło poreformackiego kościoła z powrotem do Baraniej Głowy, nie podejmuję się opisywać. Ach! gdyby to tak panna Jadwiga znalazła się w podobnym położeniu, dopieroż bym napisał sensacyjny romans, którym podjąłbym się przekonać najzaciętszych pozytywistów, że są jeszcze idealne istoty na świecie. Ale w pannie Jadwidze każde wrażenie doszłoby do świadomości siebie; rozpaczne rzuty duszy wyraziłyby się w nie mniej rozpacznych, a zatem bardzo dramatycznych myślach i słowach. Owo koło błędne, głębokie a przebolesne poczucie bezradności, niemocy i przemocy, ta rola liścia wśród burzy, głuche poznanie, że znikąd ratunku, ani z ziemi, ani z nieba, natchnęłoby zapewne pannę Jadwigę jakimś nie mniej natchnionym monologiem, który potrzebowałbym tylko opisać, aby sobie zrobić reputację. A Rzepowa? Ten prosty naród, gdy cierpi, to tylko cierpi, i nic więcej! Rzepowa w twardej ręku niedoli spoglądała tylko tak, jak spogląda ptak męczony przez złośliwe dziecko. Szła oto przed siebie, wiatr gnał ją, pot ciekł z jej czoła — i cała rzecz. Czasem jednak, gdy dzieciak, który był chory, otwierał usta i poczynał oddychać tak, jakby zaraz miał skonać, wołała na niego: „Jaśku, Jasieńku mój serdeczny!”, i przyciskała macierzyńskie usta do rozpalonego czoła dzieciny. Minęła wreszcie poreformacki kościół i wyszła daleko w pole, aż nagle zatrzymała się, bo naprzeciw niej szedł pijany chłop.

Chmury waliły się na niebie coraz gęstsze, a w nich gotowało się coś jakby burza; od czasu do czasu błyskało, ale chłop nie pytał, rozpuścił na wiatr poły sukmany, przekrzywił czapkę na ucho i taczając się to w prawo, to w lewo, śpiewał:

Poszła Doda

Do ogroda

Pasternaku kopać,

A ja Dodę

Kijem w nogę!

Doda uciekać!

Uu! du!

Ujrawszy Rzepową stanął, rozłożył ręce i wykrzyknął:

Oj! pójdziewa w żyto!

Boś dobra, kobieto!

I chciał ją złapać wpół, ale Rzepowa zląkszy się o dziecko i o siebie uskokczyła w bok; chłop za nią, ale że był pijany, więc się przewrócił. Zerwał się wprawdzie zaraz, nie gonił

jej jednak, tylko porwawszy kamień rzucił za nią, że aż zawarczało powietrze.

Rzepowa poczuła ból w głowie i zamroczyło ją zaraz, toteż przyklęła. Lecz pomyślała sobie tylko jedno słowo: „dziecko”, i poczęła uciekać dalej. Zatrzymała się dopiero pod krzyżem, a obejrawszy się spostrzegła, że chłop był już z jakie pół wiorsty i taczając się szedł do miasta.

W tej chwili jednak uczyła jakieś dziwne ciepło na szyi; pomacała ręką, a potem spojrzawszy na palce spostrzegła krew.

Pociemniało jej w oczach i odeszła od przytomności.

Zbudziła się oparta plecami o krzyż. Z daleka nadjeżdżał kabriolet z Ościeszyna, a w nim młody pan Ościeszynski z guwernantką ze dworu.

Pan Ościeszynski Rzepowej nie znał, ale ona go znała z kościoła; myślała więc lecieć do kabrioletu i prosić na miłosierdzie Boskie, żeby choć dziecko przed burzą zabrali: podniosła się nawet na nogi, ale nie mogła iść.

Tymczasem młody pan nadjechał i ujrawszy nieznaną kobietę stojącą pod krzyżem, zawołał:

— Kobieto! Kobieto! Siadajcie.

— Niech Pan Bóg...

— Ale na ziemi, na ziemi.

O! był to figlarz znany w całej okolicy ten młody pan Ościeszynski, więc on tak zaczepiał wszystkich po drodze, a tak samo też zażartował i z Rzepowej, a potem zaraz ruszył dalej. Do uszu Rzepowej doszły śmiechy jego i guwernantki; potem zobaczyła, jak się zaczęli całować i znikli wraz z kabrioletem w ciemnej dali.

Rzepowa została sama. Ale nie darmo to mówią: „Baby i ropuchy nawet siekierą nie zabijesz!” Po godzinie jakiej zwlokła się znowu, choć nogi gięły się pod nią: poszła dalej.

— Cóż ci ta dziecina winna, ona rybeńka złota, Panie Boże! — powtarzała tuląc do piersi chorego Jaśka.

A potem widać zaraz porwała ją gorączka, bo zaczęła mruczeć jakby pijana:

— W chałupinie pusta kołysieczka, a mój to ta poszedł na wojenkę z karabinem.

Wiatr zsunął jej czepiec z głowy: śliczne jej włosy rozsypały się po plecach i poczęły furkać w powietrzu. Nagle błysnęło: piorun runął tak blisko, że owionął ją zapach siarki i aż przysiadła. Ale przyprowadziło ją to do przytomności; krzyknęła: „A słowo stało się ciałem!” Spojrzała na niebo, które było wzburzone, niemiłosierne, wściekle, i zaczęła drżącym głosem śpiewać: „Kto się w opiekę”. Jakiś złowrogi miedziany odbłask padał z chmur na ziemię. Rzepowa weszła do lasu, ale w lesie było jeszcze ciemniej i straszniej. Od chwili do chwili zrywał się nagle szum, jakby przerażone chojary szeptały do siebie ogromnym szeptem: „Co to będzie! O! dlaboga!” Potem znów nastawała cisza. Czasem znów z głębin leśnej rozlegał się jakiś głos. Rzepową aż ciarki przechodziły, że to może „złe” śmieje się na bajorach albo może gomon przesunie strasznym korowodem lada chwila. „Byle bez las, byle bez las — myślała sobie — a tam za lasem zara młyn i chałupa Jagodzińskiego młynarza!” Biegła więc ostatkiem sił, chwytając w spieczone usta powietrze, a tymczasem upusty niebieskie otworzyły się nad jej głową: deszcz pomieszany z gradem lunął jak z cebra; uderzył wiatr z taką siłą, że aż chojary przygięły się do ziemi; las zasnuło mgłą, parą, falami deszczu; drogi ani dojrzyć, a tu drzewa wiją się po ziemi, a skrzypią i szumią: słychać trzask gałęzi — ciemność.

Rzepowa uczyła, że słabnie.

— Ratunku! Ludzie! — zawołała słabym głosem, ale tego nikt nie słyszał. Wicher wbił jej nazad głos w gardło i zatamował oddech. Wtedy to zrozumiała, że już dalej nie ujdzie.

Zdjęła z siebie chustkę, zdjęła przyjaciółkę, fartuch, rozebrała się prawie do koszuli i okutała dziecko; potem ujrawszy w pobliżu brzozę płaczącą, przyczołgała się do niej prawie na czworakach i złożwszy pod gęstwiną dziecko, sama upadła obok niego.

— Boże! Przyjm duszę moją! — wyszeptowała z cicha.

I zamknęła oczy.

Burza szalała jeszcze przez czas jakiś, na koniec opadła. Ale zrobiło się już ciemno; przez przerwy chmur poczęły połyskiwać gwiazdy. Pod brzozą bielili się nieruchoma ciągle postać Rzepowej.

— Nau! — rozległ się jakiś głos w ciemnościach.

Po chwili z daleka dał się słyszeć turkot wozu i chlapanie nóg końskich po kałużach. To Herszek, pachciarz z Wrzeczędzy, sprzedawszy w Osłowicach gęsi, wracał na noc do domu.

Ujrzawszy Rzepową zlął z wozu.

ROZDZIAŁ DZIESIĄTY. ZWYCIĘSTWO GENIUSZU

Herszek z Wrzeczędzy zabrał było Rzepową spod brzozy i wioził ją do Baraniej Głowy, a po drodze spotkał się z Rzepą, który widząc, że idzie burza, wyjechał z wozem na spotkanie kobiety. Kobieta przeleżała noc i następny dzień, ale drugiego dnia już wstała, bo dzieciak był chory. Przyszły kumy i okadzały go święconymi wiankami, a następnie stara Cisowa, kowalka, zażegnowała chorobę z sitem w rękę i czarną kurą. Jakoż dzieciakowi zaraz pomogło, ale bieda była coraz większa z samym Rzepą, który zalewał się teraz wódką bez miary i już nie można było dojść z nim do ładu. Dziwna rzecz, kiedy Rzepowa przyszła do przytomności i zaraz spytała o dziecko, on zamiast okazać jej troskliwość, ozwał się chmurno: „Będziesz ty po miastach latać, a dzieciaka lichu weźmie. Dałbym ja ci, żebyś ty go była zatraciła!” Więc dopiero kobieta na taką niewdzięczność uczuła gorycz wielką i głosem prosto spod serca, w którym był ból niepojęty, chciała mu to wymówić, ale nie mogła więcej powiedzieć, jak tylko krzyknąć: „Wawrzon!” I spojrzała na niego przez lzy. A chłopą jakby podrzuciło ze skrzynki, na której siedział. Przez chwilę cicho było, a potem powiada innym już głosem: „Maryśko moja, odpuść ty mi moje słowa, bo widzę, że cię ukrzywdził”. To rzekłszy ryknął wielkim głosem i nuż ją po nogach całować, a ona mu w płaczu wtórowała. Więc czuł, że takiej kobiety niewart. Ale ta zgoda niedługo trwała. Smutek jątrzący się jako rana zaczął ich zaraz jątrzyć jedno przeciw drugiemu. Gdy Rzepa przychodził do chałupy, czy to pijany, czy trzeźwy, nie mówił do żony ani słowa, ale siadał na skrzynce i patrzył wilkiem w ziemię. Tak siadywał po całych godzinach jak skamieniały. Kobieta kręciła się po izbie, pracowała jak i dawniej, ale także milczała. Później, gdy jedno i chciało odezwać się do drugiego, już im było jakoś i niesporo. Żyli więc niby w wielkiej urazie, a w chałupie grobowe panowało milczenie. O czymże i mieli mówić, kiedy wiedzieli oboje, że już nie ma żadnej rady i że dola ich już się skończyła. Po kilku dniach poczęły chłopu złe jakieś myśli przychodzić do głowy. Poszedł było do spowiedzi do księdza Czyżyka, ksiądz nie dał mu rozgrzeszenia i kazał przyjść nazajutrz, ale nazajutrz Rzepa zamiast do kościoła poszedł do karczmy. Ludzie słyszeli, jak po pijanemu mówił, że kiedy mu Pan Bóg nie chce pomóc, to on duszę diabłu zaprzedał, i poczęli się go wystrzegać. Nad chałupą zawisła jakoby klątwa. Ludzie rozpuścili języki jak dziadowskie bicze i mówili, że wójt z pisarzem dobrze robią, bo taki zbereźnik ściągnie tylko pomstę Bożą na całą Baranią Głowę. A i na Rzepową poczęły kumoszki niestworzone rzeczy wygadywać.

Zdarzyło się, że u Rzepów wyschła studnia. Rzepowa więc poszła po wodę przed karczmę, a po drodze słyszała, jak chłopaki mówiły między sobą: „Idzie żołnierka!” A inny chłopak powiada: „Nie żołnierka to, ale diablowa!” Kobieta nie rzekłszy słowa poszła dalej, ale widziała, jak się przeżegnali. Nabrała wody w konewkę — i do domu. Aż tu przed karczmą stoi Szmul. Gdy ujrzał Rzepową, wydobył zaraz z gęby porcelanową fajkę, co mu na brodzie wisiała, i zawołał:

— Rzepowa!

Rzepowa zatrzymała się i pyta:

— Czego chcecie?

A on:

— Byliście u sądu w gminie?

— Byłam.

— Byliście u księdza?

— Byłam.

— Byliście we dworze?

— Byłam.

— Byliście w powiecie?

— Byłam.

— I nie wskóraliście nic?

Rzepowa tylko westchnęła, — a Szmul znowu:

— Ny, jacy wyście głupi, to już w całej Baraniej Głowie nikogo głupszego nie ma! A wam po co tam było iść?

— A gdzie miałam iść? — rzecze kobieta.

— Gdzie? — odparł Żyd. — A na czym ugoda stoi? Na papierze: nie ma papieru, nie ma i ugody: podrzeć papier, i basta!

— O moiściewy! — rzecze Rzepowa. — Żeby ja miała ten papier, dawno bym ja go podarła.

— Ba, a to nie wiecie, że papier u pisarza? No... ja wiem, co wy, Rzepowa, dużo u niego możecie wskórać; on sam mi mówił: niech Rzepowa, powiada, przyjdzie i mnie poprosi, a ja, powiada, papier podrę, i basta!

Rzepowa nie odrzekła nic, tylko schwyciła konewkę za ucho i poszła do domu, a tymczasem ściemniło się na dworze.

Wieczorem pan pisarz, już rozebrany, tylko w bieliźnie, leżał sobie na łóżku kozią bródką do góry i czytał *Tajemnice dworu tuileryjskiego*, takż wydawnictwa pana Breslauera. Czytał właśnie scenę, jak poseł hiszpański Olozaga całował w pończochy Eugenię. Scena tak ślicznie napisana, że pana pisarza aż coś podrzuca na łóżku. Świeca się pali, mucha w łoju pryska. Nagle pan pisarz słyszy, że ktoś puk! puk! we drzwi, ale tak cichutko, że ledwie mógł pan pisarz uchem uderzenia ułoić.

— Kto tam? — pyta głośno, bo zły był, że mu przeszkadzają.

— Ja! — odpowiada szepczący głos.

— Co za ja?

Głos zaszemrał:

— Rzepowa!...

Pan pisarz zerwał się i otworzył. Weszła Rzepowa tak zalękła, że chciała mówić i nie mogła. Ale on był dobry człowiek — Zołzikiewicz, więc ją ośmielił, bo jak był nieubrany, tak ją zaraz objął wpół i mówi:

— Aha! przyszła koza do woza! Po kontrakt, Marysiu — co?

— Tak!

Wtedy on ją przyciągnął i przycisnął do siebie, położywszy usta na jej drżące wargi.

— A co teraz będzie? — pyta wesoło.

Kobieta pobladła jak płótno.

— Dziej się wola Boża! — wyszeptwała.

Pan pisarz... zdmuchnął świecę.

ROZDZIAŁ JEDENASTY. SKOŃCZONA NIEDOLA

Na niebie zaszedł już Wóz, a weszły Kurki, gdy drzwi skrzyknęły w chacie Rzepów i Rzepowa weszła cicho do izby. Wszedłszy stanęła jak wryta, bo spodziewała się, że Rzepa, jak zwykle, będzie spał w karczmie; tymczasem Rzepa siedział na skrzynce pod ścianą, z pięściami wspartymi o kolana, i patrzył w ziemię.

Na kominie dogasały węgle.

— Gdzieś była? — spytał ponuro Rzepa.

Zamiast odpowiedzieć, ona padła na ziemię i leżąc przy jego nogach, ze szlochaniem i płaczem wielkim zaczęła wołać:

— Wawrzon! Wawrzon! Dla ciebie to ja, dla ciebie! Na sromotę się podałam. Oszukał mnie, a potem zwymyślał i wypędził. Wawrzon! ulitujże się choć ty nade mną: mój serdeczny! Wawrzon! Wawrzon!

Rzepa wydobył zza skrzyni siekiere.

— Nie — mówił spokojnym głosem — już tobie przyszło na koniec, niebogo! Już ty się pożegnaj z tym światem, bo go nie będziesz widzieć. Już ty nie będziesz, niebogo, w chałupie siedziała, ino będziesz na cmentarzu leżała... już ty...

Dopiero ona spojrzała na niego z przerażeniem.

— Cóż ty, chcesz mnie zamordować?

A on:

— No, Maryśko, nie trać po próżnicy czasu; przeżegnaj się, a potem będzie koniec: nawet nie poczujesz, niebogo.

— Wawrzon, i ty naprawdę?...

— Połóż głowę na skrzyni...

— Wawrzon! Miłosierdzia!

— Połóż głowę na skrzyni! — wołał już z pianą na ustach.

— O! Dłaboga! Ratunku! Ludzie, ratun...

Rozległo się głucho uderzenie, potem jęk i stuk głowy o podłogę; potem drugie uderzenie, słabszy jęk; potem trzecie uderzenie, czwarte, piąte, szóste. Na podłogę lu-
nęła strumień krwi, węgle na kominie przygasły. Drganie przeszło Rzepową od stóp do
głowy, potem trup jej wyprężył się i pozostał nieruchomy.

Wkrótce potem szeroka krwawa luna rozdarła ciemności: paliły się zabudowania
dworskie.

EPILOG

A teraz powiem wam coś na ucho, czytelnicy: Rzepy nie byliby wzięli do wojska. Taka
ugoda, jaką spisano w karczmie, nie była wystarczająca. Ale widzicie, chłopci się na takich
rzeczach nie znają, inteligencja dzięki neutralności także niewiele, więc... pan Zolżikie-
wicz, który trochę wiedział o tym, liczył, że w każdym razie sprawa się przewlecze, a strach
rzuci kobietę w jego ramiona.

I nie przeliczył się ten wielki człowiek.

Spytacie, co się z nim stało? Cóż się miało stać? Rzepa, podpaliwszy zabudowania
dworskie, poszedł było szukać z kolei zemsty i na nim: ale że na okrzyk: „gore!”, zbudziła
się już cała wieś, więc Zolżikiewicz ocalał.

I oto piastuje dalej urząd pisarza w Baraniej Głowie, ale teraz ma nadzieję, że zostanie
wybrany sędzią. Skończył właśnie czytać *Barbarę Ubryki* spodziewa się także, że panna
Jadwiga uściśnie mu lada dzień rękę pod stołem.

Czy te nadzieje sędziostwa i uścisku się sprawdzą, przyszłość okaże.

Ten utwór nie jest objęty majątkowym prawem autorskim i znajduje się w domenie publicznej, co oznacza że
możesz go swobodnie wykorzystywać, publikować i rozpowszechniać. Jeśli utwór opatrzony jest dodatkowymi
materiałami (przypisy, motywy literackie etc.), które podlegają prawu autorskiemu, to te dodatkowe materiały
udostępnione są na licencji Creative Commons Uznanie Autorstwa – Na Tych Samych Warunkach 3.0 PL.

Źródło: <http://wolnelektury.pl/katalog/lektura/szkice-weglem>

Tekst opracowany na podstawie: Henryk Sienkiewicz, *Pisma wybrane. Nowele*, t. 1, Państwowy Instytut Wy-
dawniczy, Warszawa, 1976

Wydawca: Fundacja Nowoczesna Polska

Publikacja zrealizowana w ramach projektu Wolne Lektury (<http://wolnelektury.pl>). Reprodukacja cyfrowa
wykonana przez Bibliotekę Narodową z egzemplarza pochodzącego ze zbiorów BN.

Opracowanie redakcyjne i przypisy: Aleksandra Sekuła, Weronika Trzeciak.

Okladka na podstawie: User:Colin@Flickr, CC BY-SA 2.0

ISBN 978-83-288-0913-0

Wesprzyj Wolne Lektury!

Wolne Lektury to projekt fundacji Nowoczesna Polska – organizacji pożytku publicznego działającej na rzecz
wolności korzystania z dóbr kultury.

Co roku do domeny publicznej przechodzi twórczość kolejnych autorów. Dzięki Twojemu wsparciu będziemy
je mogli udostępnić wszystkim bezpłatnie.

Jak możesz pomóc?

Przekaż 1% podatku na rozwój Wolnych Lektur: Fundacja Nowoczesna Polska, KRS 0000070056.

Pomóż uwolnić konkretną książkę, wspierając zbiórkę na stronie wolnelektury.pl.

Przekaż darowiznę na konto: [szczegóły na stronie Fundacji](#).